

Łazarczuk Andriej

Inne niebo

Wersja dla czasopism powieści
"Wszyscy zdolni do noszenia broni"

Z „Fahrenheit”

Otrzymujecie rzecz na polskim rynku bez precedensu chyba - nowelę Andrieja Łazarczuka "Inne niebo". Dlaczego precedensowa? Jest to forma nieistniejąca u nas - "żurnalny wariant" to albo wersja okrojona, przycięta dla publikacji w prasie, albo - jak to miało miejsce w tym przypadku - pierwsza wersja utworu, który rozrósł się do pełnowymiarowej powieści, do publikacji w postaci książki.

Ów "żurnalny wariant", zanim stał się powieścią, otrzymał dwie nagrody w Rosji i to nie były jakie: "Strannik" i "Brozonowaja ulitka".

Dodam jeszcze, że dla mnie osobiście, to hit jakichś ostatnich dwóch lat.

Goście zapraszam i polecam. Co ważne, nowela - będąc zamkniętym utworem (wyśmienitym czytadłem!) - nie zdradza niczego a zwłaszcza pointy powieści.

Nie sądźcie, że przeczytawszy ją, nie ma sensu sięgać po wydaną przez SOLARIS powieść. Autor zachował dla nas kilka mocnych niespodzianek.

I całą masę zasysającej lektury...

P.S. Zostawiłem w tytułach rozdziałów imię Zbych. Po to, by zasygnalizować, że są jeszcze inne postaci w "księżnom wariantie"...



Och, ci ludzie! Zawsze tacy sami:

znają z góry wszystkie złe strony czynu,

radzą, nawet akceptują go,

widząc bezsens innego środka

a potem umywają ręce i odwracają się

z oburzeniem od tego, kto bierze na siebie

całe brzemień odpowiedzialności.

M.Lermontow

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 02.30 Stacja Szatłowo. Jednostka Wojskowa 671/38 (jednostka szkoleniowa)

Zaraz po północy wiatr zmienił kierunek; księżyc przesłoniły nie wiadomo skąd przybyłe chmury, temperatura zaczęła spadać w błyskawicznym tempie. I o ile o północy, kiedy przyjmowałem posterunek, pod stopami mi chlupotało, a z nieba ktoś obficie polewał cholernie zimną wodą, to po półtorej godzinie mojego rozpaczliwego przytupywania pod grzybkiem wartowniczym, na ziemi leżała już warstwa lodu, a od strony lasu dochodził mnie trzask i chrzęst łamanych gałęzi (koszmar wartownika) - ponieważ było już dobrze poniżej zera, a deszcz nie zmienił się ani w śnieg, ani w grad: padał nadal drobnymi kroplami - zamarzał na wszystkich twardych przedmiotach sztywną powłoką. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek trafił na taką podłą pogodę. Powinno się ją przeczekiwać w domu z niezawodnym dachem i grubymi murowanymi ścianami. I z kominkiem, w którym płonęłyby grube dębowe polana. Ostatecznie zamiast kominka mógłby być rozgrzany do czerwoności piec.

Nie czułem już nóg. Kuśtykałem na drewnianych kikutach, niczym japońska tancerka.

Obóz spał, nieświadomy, że we śnie obrasta lodową skorupą. Jeszcze jakieś pięć godzin takiego deszczu, a potem trzeba będzie chodzić z piłą i wycinać ludzi z namiotów, spełniając swój chrześcijański obowiązek. Tylko żeby potem każdy wypiłowany odpalił po "lufce" od głowy. Za włożony wysiłek.

Wyciągnąłem z tylnej kieszeni swoją starą i dobrze już pogniecioną manierkę. Żałosne mizerne ostatnie krople...

Tym niemniej nawet te wystarczyły, by stworzyć jakąś iluzję wewnętrznego ciepła.

Pić, chłopaki, należy samogon. Porządny wiejski polski bimber.

No i dobra, zostało mi pół godziny tańca ludowego.

Na wartowni jest ciepłoko, zdejmie się mundur, buty, skarpety, i - nogami do pieca: rozkosz, jeśli ktoś ma pojęcie o rozkoszach.

Prawdziwa rozkosz. Jak w dzieciństwie: przychodził człowiek z pola, zdierał z nóg buciory i wyciągał stopy do pieca. Błogość, póki nie przegonił cię ktoś, kto też chciał zażyć szczęścia.

Czterdziesty, cholera, drugi. Obóz dla pozbawionych opieki sierot pod Smoleńskiem. Już tyle lat tego nie wspomniałem. Ech, Goriełtyj. To ty mi rozjątrzyłeś ranę.

Kapitan Goriełow, dowódca naszej jednostki szkoleniowej. Niegdyś mój sąsiad na piętrowej pryczy. Trafił do obozu w październiku czterdziestego drugiego i od razu zaczął rzeczowe przygotowania do ucieczki. Niesamowicie chudy, szary, słaby - i nie bał się niczego. Bryknęliśmy razem, i może nawet by się udało, ale Berlinem akurat wstrząsnął kolejny przewrót, cała policja stała na uszach, więc po niecałym tygodniu szczęśliwie przekazano nas do rąk własnych komendanta Altrogge. Dopiero potem, wydorósławszy i zmadrzawszy, zrozumiałem, że Altrogge był dobrym człowiekiem i robił wszystko, co w jego mocy, by ochronić nas przed głodem i epidemią. Inna sprawa, że nie wszystko zależało od niego. Ale wówczas tego nie docenialiśmy. Nie umieliśmy docenić i nie chcieliśmy.

W marcu zwialiśmy z Goriełym po raz drugi - tym razem skutecznie. Niemal nie wahaliśmy się, dokąd uciekać. Oczywiście, że na Syberię: walczyć i mścić się. Mieliśmy za co. Więc pognaliśmy na Syberię...

Już niemal palców nie czuję. Latem nie należą się rękawiczki. Uważa się powszechnie, że latem jest ciepło. Łamiąc regulamin, wsadziłem ręce do kieszeni. Simonow majtał się na pasku. Dobra maszynka, idealna broń dla wartownika. Niemal nic nie waży.

Za plecami nagle coś gruchnęło głośno, ale głucho, jakby w mokre bale. Obejrzałem się. Ni cholery nie widać przez tę kurtynę deszczu. Ale po chwili zarysował się na mgnienie oka rozmyty grzbiet niskiej leśnej góry o pieszczotliwej nazwie Mańka i pojawiły się postrzępione brzegi obłoków, przygniatających biedną Mańkę do ziemi. Po dwudziestu sekundach gruchnęło powtórnie, głucho i bez echa. Grzmot ugrzązł w deszczu.

Grzmot... Albo ja czegoś nie kapuję, albo to nie jest grzmot. Nieprawidłowy grzmot. Wywołują go nieprawidłowe błyskawice...

Wyciągnąłem rękę z rękawa i zdjąłem słuchawkę z widełek. W odległej ciepłej wartowni rozległ się brzęczyk i podporucznik Stas Razumowski, przeciągle wspomniawszy w dość niezwykłym kontekście pewną część ciała księcia arcyksięcia Ferdynanda, podniósł słuchawkę.

- Dowódca wartowni.

- Posterunek numer dwa, kursant Wolinecki. Panie poruczniku, obserwuję wybuchy z kierunku uroczyska Ulman.

- Jakie, kurdemol, wybuchy?
- Dwie eksplozje, którym towarzyszą odgłosy wybuchów. Odległość rzędu siedmiu kilometrów.
- Dobrze, kursancie - odkasznął. - Prowadźcie dalej obserwację.

Czpak.

Teraz zadzwoni... dokąd? A, zresztą, co mnie to. Ja miałem postać te swoje dwadzieścia minut, wrócić na ciepłą wartownię, zdjąć buty i przysunąć stopy do pieca.

Potem, twarzą w dół, na prycze. Dwie godziny luzu. Potem jeszcze postoję pod grzybkiem od szóstej do ósmej.

Wad'ka Zacharow, z którym kiedyś grałem w siatkówkę w reprezentacji miasta i który od tamtej chwili, w odróżnieniu ode mnie, zrobił doktoraty z dwóch dyscyplin: medycyny i kryminalistyki - powiada, że moje sny są, co się zowie, niesprzyjającymi prognostycznymi wizjami. Takie sny mają tylko typy paranoidalno-schizoistyczne, które - o ile nie umrą z powodów naturalnych - przekraczają zawsze jakąś granicę i stają się seryjnymi zabójcami. Powtarza mi to od dziesięciu lat, czyli przez cały czas naszej znajomości.

Moje sny, z mojego punktu widzenia, niczym specjalnym się nie wyróżniają. Po prostu, w swoich snach nie robię kompletnie nic i nie odczuwam żadnych emocji. Z reguły, czuję siebie w tej pozycji, w jakiej leżę w rzeczywistości. Ale dookoła mnie dzieją się rzeczy niewiarygodne. Choma Brut [*Choma Brut - postać z opowiadania "Wij" M.Gogola - przyp. tłumacza*] nie miał takich wizji nawet o trzeciej nocy. Przy tym jestem całkowicie obojętny w stosunku do wszystkich tych potworów i dziwów. Czy są one, czy ich nie ma - kamienny spokój, jakiego w realnym życiu nigdy i w żadnych okolicznościach nie zażywam...

Na przykład teraz - jakbym leżał na czarnym przezroczystym lodzie, twarzą w dół i przyglądał się diabolicznemu, w stylu Boscha, pożeraniu małych nieładnych ludzików przez małe ruchliwe chimery. Chimerki doganiają ludziki, otaczają i zaczynają im odgryzać rączki, nóżki, główki. Chimerki są krokodylo-szczurkami ze skrzydełkami. Potrafią latać, ale fruują niedaleko i wolno.

- Kursanci Azdaszew, Walinecki, Wrangel, Zdanowicz, Kucewałow, Chomczenko, Porotow, Jakowlew!
Wystąp!

Wystąpiłem. Wraz z innymi wywołanymi.

- Rozkazem dowódcy jednostki kapitana Goriełowa jesteście zwolnieni z pełnienia służby wartowniczej i przechodzicie pod komendę bezpośrednich przełożonych. W tył, r-r-rozejść się! Biegiem - marsz! Dokąd właściwie mam biec dowiaduję się już na deszczu. Na placu znieruchomiał ciemny szyk, za nim świeciły reflektory ciężarówek, w ich świetle widać było kilka dowódczych sylwetek. Wszyscy w ładnym lodowym połysku. Zajmuję miejsce w drugim szeregu, kapral Kosiczka kątem oka widzi mnie i kiwa głową z zadowoleniem.

- ... powtarzam: to nie jest alarm ćwiczebny. Broń i amunicję...

Ktoś głośno sapie obok mnie.

- Wasia - cicho odzywam się do Kosiczki. - Co się dzieje?

- Nie wiem - odpowiada równie cicho. - Mamy się wysunąć ku amerykańskiej bazie i zająć stanowiska obrony.

Dobra.

Baza znajduje się w uroczysku Ulman. Supertajna. Przedwczoraj w szatniowskiej oberży tłukliśmy się kolejny raz z ochroniarzami tej bazy. Sądzę, że wiemy o niej wszystko.

Wojna z Ameryką? Maligna idioty. Ale jeśli nie, to co?

Ochroniarzy ma baza półtorej setki, chłopaki wybrane i uzbrojone wybornie. Nasz simonow przeciwko ichniemu thompsonowi trzyma się tylko na krótkim dystansie.

Hej, panie Walinecki? Idziesz pan wojować?

Tak. W łydkach czuję napięcie, drżą lekko, ale już nie czuję ani zimna, ani wody z niebios, w uszach rozbrzmiewa cicha trąbka, palce ściskają wierny metal...

- Do wozów!

Ta jest. Półtora kroku i już siedzimy na ławkach, plecami do kierunku ruchu, automaty malutkie, zieloniutkie, zabawkowe niemal na szyi, naboje, granaty i inne ładunki dostaniemy na miejscu. Zęby zaciśnięte, żeby nie stuknęły jak werble. Od tego są dobosze...

W przód, w tył, w przód: światło reflektorów, świecąca kurtyna deszczu i za nią nasze osieroczone namioty z pustymi trójkami wejść. Silnik wyje, pejzaż, dygocąc, obraca się o trzy czwarte okręgu i znika w mroku, pozostaje tylko ciemność, dwa czerwone mgliste obłoczki pozostawiane w deszczu i mgle przez nasz

samochód, a poza tym nic więcej nie zasługuje na uwagę, ponieważ jesteśmy ostatni. Ale nie: gdzieś tam z lewej (chyba) od obozu wzlataje w niebo rakieta, gaśnie, wzlataje nowa, i jeszcze jedna, i jeszcze jedna... I od razu robi się upiornie zimno. Woda ścieka z ronda panamy na ramiona, mundur przemaka i przy każdym ruchu zaczyna chrzęścić lód. Silnik zmienia tonację: nieuchronnie wspinamy się pod górę.

31 sierpnia. Około 6-ej rano

Okolice stacji Szatilowo. Baza Sił Powietrznych Związku Narodów "Sajan"

Naciągnięte płachty brezentowe jakoś tam chronią nas przed deszczem. Przywieramy do siebie, żeby było cieplej...

Nic nie rozumiem, po raz setny powtarza Porotow, aptekarz z Nowojenisiejska; cieknie mu z nosa, więc co kilka sekund smarka w ogromną plamiastą (a skąd wiem, że plamiasta? Nie wiem, ale skądś wiem...) chusteczkę, nie, no nic nie rozumiem, a wy? Zaraz powiedzą nam, że to żart, i zawiozą na śniadanie...

Znam to miejsce. Co roku tu przyjeżdżamy z Goriełowym, wódkę pijemy, smażymy szaszłyki, pieczemy w popiele kartofle. Tu jest po prostu pięknie. Szczególnie, kiedy świeci słońce... Po stu metrach las się kończy, na skraju jest zapora z gęstych jodeł, ale jeśli już się przedrze człowiek przez te szpilki, to wychodzi się na spadziste zbocze, porośnięte kłującymi niskimi krzewami; a z tego zbocza (w dzień, rzecz jasna) ma się taki widok na uroczysko Ulman, że dech zapiera. I widok na bazę: szare betonowe pasmo lotniska, białe budynki hangarów, betonowe wieże armatek plot... Ale to, co najciekawsze i najbardziej utajnione znajduje się w ledwo widocznych w dali niskich bunkrach. O pewnej godzinie, nazwijmy ją "C", bramy bunkrów otworzą się i wyjedzie stamtąd na ciężkiej gąsienicowej platformie piętnastometrowy pocisk – ponad stratosferyczna rakieta "Hammerer", niosąca głowicę wodorową i zdolna do osiągnięcia wysp japońskich. Takich rakiet mają w bazie osiem sztuk, a przynajmniej jedna jest w stałej gotowości do startu...

Amerykanie są gadatliwi jak dzieci.

Może jednak zostanę japońskim szpiegiem?

Ale co tam się stało? Wybuchła dyżurna rakieta? I co nam do tego? Obszar bazy jest według umów, terytorium Związku Narodów, i powstające tam problemy są problemami ZN.

Chyba że... bunt?

Ludzie gadają, że jakieś siedem-osiem lat temu miały miejsce poważne zamieszki w identycznej bazie w Brytanii. Szczegółów brak.

- A ja myślę, chłopaki - rzucił za moimi plecami Sierioża Wrangel, student-pechowiec - że to Amerykańcy się pocięli. Może im przywieźli nie ten gatunek lodów...

Zawsze chętnie rżymy z amerykańskiego stylu wojskowego życia. Nawet nie z zawiści. Przede wszystkim dlatego, że nasze jegierskie przygotowanie pozwala nam spokojnie zawijać tym ładnym i dużym chłopakom nosy na czubki głowy, gdy tylko dochodzi do walki wręcz w oberży. Ich to ciągle dziwi, ponieważ są, według własnej terminologii, zawodowcami, a my - parszywymi rezerwistami na letnim obozie dla skautów. Amerykańscy oficerowie często wizytują nasze zajęcia, szczególnie jeśli prowadzi je Goriełow, usiłując wyłapać tajniki naszego mistrzostwa.

Hak im w zęby i otręby.

Nie wiadomo dlaczego poprzestaliśmy wszyscy na wersji buntu i jakimś niewiadomym sposobem przechodzimy na temat żon i innych kobiet. Ja też pieprzę trzy po trzy, byle tylko nie myśleć...

Nadchodzi świt, już widzimy siebie wzajemnie. Deszcz nie ustaje, ale teraz to już tylko deszcz, bez lodowej skorupy. Para z oddechów przypomina mgłę.

Może to i mgła. Z mgły niespodziewanie wyłania się podporucznik Kriwołapow, dowódca naszego plutonu. Nazwisko dziwnie odpowiada wyglądowi.

- Zbiórka w szeregu - pada cichy rozkaz.

Stajemy w szeregu, kursanci między wiotkimi cienkimi osikami. Kriwołapow odczekuje odmierzony czas.

- Jęgrzy. Postawiono nam zadanie... - nagle milknie, kaszle i zaczyna ponownie, ale innym zupełnie

głosem: - Chłopaki, oto co się stało: ktoś przejął tę francowatą bazę. Jakiś "Rosyjski Legion". Nie wiadomo

kim są, nie wiadomo ilu ich jest... ale pewnie dość, ponieważ sama ochrona bazy liczyła półtorej setki, wiecie to... Krótko i węzłowato: wypowiedzieli wojnę Japonii. Co się zacznie, jeśli naprawdę odpalą tę młockarnię, nie muszę wyjaśniać. Jedno tylko jest pocieszające: zatankowaną raketę Amerykanie zdążyli wysadzić, a na przygotowanie drugiej potrzebują dwudziestu godzin. Tak więc przed wieczorem wojna się raczej nie zacznie. Naszym zadaniem jest spowodować, by w ogóle się nie zaczęła... Reasumując: zawodowi będą tu nie wcześniej niż za szesnaście godzin. Samoloty nie mogą przylecieć... Przed ich przybyciem możemy dupy sobie na strzepy pociąć, ale musimy określić liczebność przeciwnika, położenie ich punktów ogniowych... No i zadać przeciwnikowi znaczące straty. To wszystko. Na razie mamy wykonać skryte podejście do bazy i zwiad. Ochotnicy?

Przez sekundę czy dwie szereg stał nieruchomo. Potem wystąpił jefrejtor Nikołajew, potem Sierioża Wrangel, potem ja... wreszcie okazało się, że szereg jak był szeregiem, tak został.

- Dziękuję, chłopaki... - powiedział Kriwołapow. - Idę ja, jefrejtor Nikołajew, kursanci Walinecki i Azdaszew. Dowodzi kapral Kosiczka. Zwiadowcy - za mną, reszta na razie odpoczywa. Rozejść się.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 7.20. Okolice stacji Szatłowo. Baza Sił Powietrznych Związku Narodów "Sajan"

Kriwołapow uniósł rękę, a ja, jak stałem, tak skamieniałem. Za mną też wszyscy znieruchomieli. Usłyszeliśmy wyraźnie chrzęst gałęzi - przed nami i z prawej. Trzymając automat w lewej, podporucznik uniósł się wężowym ruchem i odsunął mokrą gałąź jodłową. Patrzył długo, bardzo długo, potem pokiwał głową i wstał.

- *Hi* - powiedział. - *How are you, fellows?*

Odpowiedział mu niezrozumiały odgłos.

- Jegrzy, my jesteśmy jegrzy - wyczerpał mu się zasób angielskich słówek. - Jegrzy, *understand?* Zbych, ty paplesz po ichniemu, chodź tu... Jakowlew, Azdaszew - osłaniajcie.

Podniosłem się. Widok był mało ciekawy. Pod krzywą (a tu wszystkie są krzywe, ale ta jakoś szczególnie) jodłą leżało troje, poowijani brudnymi bandażami, a czwarty stał nad nimi, skrzyżony, z rozłożonymi rękami, brudny, chudy, w zmiażdżonych okularach...

Najpierw obejrzałem rannych. Naprędce, rzecz jasna. Posieczeni odłamkami grzechotki. Przynajmniej wszystkim oberwały nogi. I ten chudy, Timothy, włókł ich tutaj, pojedynczo, ukrywał, wracał po następnego... Był jeszcze jeden ranny, ale w chwili, kiedy Timothy go włókł - o tam, za tą wysoką sosną, widzisz? - nadleciał pocisk i dobił chłopaka, umarł niemal od razu...

- Co się w końcu tam u was stało, tam na dole, Tim?

Stało się? Stało...

Stało się to: betonową drogą prowadzącą od stacji Tichaja (na kolejowym szlaku Abakańskim następna stacja po Szatłowo) nadjechało kilka ciężarówek. Timothy, dyżurny inżynier-elektryk, z okna swojego pokoiku, obok dyspozytorni, dobrze je widział. Ciężarówki chyba były oczekiwane, ponieważ ochrona szybko sprawdziła dokumenty i otworzyła bramy - pierwszą i drugą. Po kilku minutach zaczęła się strzelanina - rzadka, nierówna, jakby zaskoczona... Najpierw nie było wiadomo, do kogo strzela ochrona - widać było tylko swoich, chociaż ktoś włączył reflektory i teren bazy zalało światło. Żołnierze padali jeden po drugim, a wrogów ciągle nie było widać i nie było słychać... Zaczęły strzelać karabiny przeciwlotnicze, duży kaliber. Potem Timothy zobaczył w końcu wrogów. Byli ubrani w coś szarego, bezkształtnego, a niewyraźnym błyskiem na końcach ich luf nie towarzyszył żaden dźwięk. Wrogowie pojawiali się i natychmiast znikali, jak cienie. Jak widma.

Potem wdarli się do dyspozytorni. Ktoś tu usiłował się bronić... Na załogę, dyżurnych, nawet nie marnowano nabożów - wrzucili granat i przymknęli drzwi.

Timothy ocalał po prostu cudem. Fala uderzeniowa wyrzuciła go za okno i przez jakiś czas leżał sobie pod nogami zdobywców w charakterze świeżego trupa. Żeby im nie śmierdział pod nosem, odciągnęli go na bok...

Potem ocknął się, starczyło mu rozumu, by przez jakiś czas nie informować o sobie. Wyczekawszy odpowiedniej chwili, odpełził w cień. Zdobywcy przeczesywali teren, ale Timothy jako elektryk znał też

kilka sekretnych ścieżek. Przez tunel kablowy przedostał się do jednej z wieżyczek plot - i tam odkrył wśród martwych czwórkę rannych. Artylerzyści, zanim zostali obrzuceni "grzechotkami", prowadzili ogień w stronę muru i ogrodzenia z drutu kolczastego, albo coś tam zobaczywszy, albo na chybił-trafił. Teraz w murze było pełno wyrw, a ogrodzenie zostało zmiecione do zera. W tamtym kierunku popełził Timothy - najpierw sam. Ale znalazłszy się w lesie, wpadł w sidła panicznego lęku, i w tej panice wrócił, wyniósł jednego rannego, drugiego, trzeciego, czwartego... Czwarty nie miał szczęścia: już było za jasno. Ilu było napastników, Timothy nie wiedział. Nie widział nawet, ile podjechało ciężarówek. Może trzy, a może i pięć. I nie dosłyszał w jakim języku się porozumiewali. Ani jaką dysponowali bronią. Ani w jakim stopniu ocalały obronne konstrukcje bazy, o tym też nie miał pojęcia. Na pewno jest jeden wyłom w murze, to na pewno, ale co się tyczy reszty...

- Zbych - odezwał się Kriwołapow. - I Jakowlew i ty. *You* - tracił łapskiem Amerykanina. - Rannych na plecy i do obozu. Zbych, dasz radę? - popatrzył na mnie z powątpiewaniem. - Chociaż - nie masz wyboru... Wykonać. Azdaszew, za mną. Zobaczymy, co to za wyłom.

Było ślisko, szczególnie zdradliwe były kamienie, porośnięte mchem. Darliśmy pod górę niemal niczego nie widząc i na końcu podejścia po prostu zdechłem. Jednakże, dziwnie jest zbudowany człowiek: zatrzymany, uwolniony od ciężaru, poczęstowany dobrym łyżkiem wódki, natychmiast odzyskałem zdolność myślenia i zacząłem migiem przekładać pytania Goriełowa i odpowiedzi Timothy'ego - chociaż w pierwszej chwili obaj wydawali mi się postaciami z jakiejś przedpotopowej kreskówki, ponieważ byli płascy, czarno-biali i dzieliła ich ode mnie kurtyna ulewy... Dopiero potem obok Goriełowa dojrzałem dwa nowe oblicza: chudego wąskookiego kapitana i na poły znajomego pułkownika: ni to siwy, ni to spłowiwały język, twarz koloru wypalanej gliny, szeroki nos z nerwowymi nozdrzami kokainiarza, ściągnięty starą oparzeliną lewy policzek...

Dopiero kiedy pośpieszne przesłuchanie Timothy'ego skończyło się i został zwolniony, by odetchnąć kapkę, na wszelki wypadek rozkazano nie oddalać się zbyt daleko, a mnie również zwolniono - poszamać - przypomniałem sobie, dlaczego twarz pułkownika wydawała mi się znajoma. Dowodził desantem na Ferganę w pięćdziesiątym siódmym, w czasie "Buntu Dziewięciu Szejków". Nazywał się Siemionow i był starszym synem słynnego winiarza.

Mimo że operacja zajęcia Fergany została wykonana błyskawicznie i z powodzeniem, Siemionow po niej ni to przeszedł do rezerwy, ni to został do niej przeniesiony. I oto nie wiadomo skąd, nagle pojawił się tutaj.

Żreć mi się kompletnie nie chciało, a nawet jakby odwrotnie, a i Kosiczka, podając mi puszkę z racją, powiedział: nie jedz, jak cię w bebech trafią, to niech będzie pusty; masz possij lepiej - i podał mi wielką bryłę szarego cukru. Co tam, na dole? Do dupy jest na dole, powiedziałem, żołnierze zawodowi, sporo ich i bazę mają całutką i wyposażoną. O-cho-cho... - sapnął mój kapral i poszedł sobie.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 10.45. Okolice stacji Szatılowo

- Żołnierze! - pułkownik nie podnosił głosu, ale słyszeliśmy go wspaniale. - Zwracam się do was tak, chociaż wiem, że wszyscy nadal uważacie siebie za spokojnych obywateli, którzy przypadkowo znaleźli się na linii ognia. Ale to nie tak. Teraz jesteście właśnie żołnierzami i to wyszkolonymi. Takim przygotowaniem, jak wasze, nie dysponują liczne armie regularne. Z czymś takim śmiało można iść do bitwy. A bój czeka nas niezwykle okrutny. Ci, co zajęli bazę, dopiero co oświadczyli: pierwsza rakieta zostanie wystrzelona w kierunku Tokio dokładnie o dwudziestą drugą. W Japonii rozpoczęto ewakuację mieszkańców miast. Ich flota wyszła w morze, bombowce patrolują nasze granice. Nie ma wątpliwości, że dokonają nalotu. Co będą zrzucać i gdzie spadną bomby... to nieważne - bo bomby spadną na naszą ziemię. Co z tego wyniknie, nie muszą tłumaczyć. Amerykańska flota została postawiona w stan gotowości. Wielka wojna może się zacząć z powodu gwałtownego ruchu jakiegoś nerwowego kaprała. Jak nam ta wojna jest potrzebna, sami wiecie. Głównodowodzący rozkazał mi zrobić wszystko, by nie dopuścić do takiego końca. A możemy zrobić tylko jedną rzecz: odzyskać bazę. Nie możemy liczyć na wsparcie: kadrowy pułk przybędzie nie wcześniej niż po zapadnięciu zmroku. Został wysadzony w powietrze most na stacji

Kolamba... - Zamilkł na chwilę, pozwalając nam przemyśleć swoje słowa. - Nie możemy też liczyć na wsparcie lotnicze. Dlaczego - nie muszę objaśniać. Jedyne, co mamy, to poza naszym pułkiem - pięć ćwiczebnych czołgów i dwie kompanie saperów budujących poligon czołgowy pod stacją Tichaja. Teraz to wszystko przesuwane jest na rubież ataku. Atak przewidziano na jedenastą trzydzieści. Dowódcy pododdziałów - pobrać mapy. Z każdego plutonu wybrać po dwóch najlepszych strzelców w charakterze snajperów. Broń została dowieziona, pobrać natychmiast. Ci, co przechodzili szkolenie jako obsługa karabinów maszynowych - krok przed szereg - wystąp! Szkoleni w obsłudze moździerzy - trzy kroki przed szereg - wystąp. Dobrze. Kaemiści - w p-r-rawo! moździerzyści - w lewo! naprz! marsz! Porucznik Lisicyń - przejąć dowodzenie nad moździerzami. Porucznik Chisimindinow, przejąć dowodzenie nad kaemistami. Pobrać broń. Jegrzy! Rozkaz: wysunąć się na rubież ataku zgodnie z planem i atakować bazę na sygnał "zielona rakietka". Nie będzie rozkazu wycofania się. Zabraniam zatrzymywać się celem okazania pomocy rannym. Dowódcy pododdziałów: podzielić jednostki na bojowe drużyny po trzech - czterech żołnierzy, wyznaczyć dowódców. Dowódcy drużyn zbierają się na instruktaż za pięć minut przy wozie sztabowym. Wykonać.

Kosiczka szybko przeszedł się wzdłuż szeregu.

- Wrangel, Walinecki, Denisow, Porotow. Dowódca - Walinecki...

Kriwołapow pojawił się niespodziewanie. Goriełow zauważył go sekundę po mnie. No tak: pewnie zmieniłem się na twarzy...

Plamiasta kurtka porucznika zrobiła się czarna, lewego rękawa nie miał w ogóle, a sama ręka przypominała zwęgloną szynkę z wiszącymi purpurowymi kłakami. Dokładnie tak samo lśniła lewa połowa twarzy, jak wyglansowany but.

- Panie kapitanie...

- Jesteście ranni, poruczniku. Lekarza, szybko.

Ktoś rzucił się po lekarza.

- Tak jest, panie kapitanie. Ranny. Kursant Azdaszew zabity. Na strzępy. Fugasowy miotacz ognia. Zatkali wyłom. Nie do przejścia. Bez artylerii - nie da rady. Rozmawiają po rosyjsku, słyszałem na własne uszy... Nagle runął na ziemię jak kłoda, nikt nawet nie zdążył go podtrzymać.

Już dobiegał lekarz, za nim para sanitariuszy ze złożonymi noszami.

- Uwaga - powiedział Goriełow do nas, wstał znowu i założył ręce za plecy. - Kontynuuję instruktaż. Po pokonaniu pasa zasieków...

Dookoła unosił się zapach palonego mięsa.

31 sierpnia. Godzina 11.30 W tym samym miejscu

- Mimo to nie mogę uwierzyć - mamrotał Porotow, wpatrując się we mnie swymi wąskimi, dziwnie błyszczącymi nieruchomymi oczami. - Nie mogę, Zbych. A ty możesz? Pewnie też nie możesz. Ktoś zaraz przyjdzie i zbudzi...

Leżeliśmy w wysokiej trawie na skraju pasma zaoranej ziemi. Pięćdziesiąt metrów przed nami słupy z kolczatką, potem - betonowy mur z kolczatką na szczycie, a potem... potem... Bóg wie, co? W rękę trzymaliśmy erpezet, rusznice przeciw zagrodeniowe, niepoważnie lekkie pukawki, przypominające harpuni do podwodnych polowań, nieco tylko grubsze. Z prawej i z lewej leżeli tacy sami chłopcy jak my, z podobnymi erpezetami - czekaliśmy na zieloną raketę.

- Widzi Bóg, Zbych, że nas tu kiwają... zaraz przyjdzie pułkownik i powie...

- Zamilcz, dobra?

- Tak, już... się zamykam. Nie denerwuj się tak, Zbych, przecież to nic strasznego... jak dobrze pomyśleć, to...

P-ffff! Rakietka przeleciała wolno nad naszymi głowami, nieco kiwając na boki wspaniałą komecią kitą i eksplodowała niczym jaskrawa czteropromienna gwiazda. Gdzieś w oddali rozległo się kilka strzałów.

- Wal - powiedziałem i sam podniosłem erpezet, celując mniej więcej w krawędź muru. Nacisnąłem spust. Erpezet nie hałasuje specjalnie. Mniej więcej jak rakieta. Właściwie jest to rodzaj rakiety, tyle że ma sporo podwieszanego wyposażenia. Żółta iskierka wyskoczyła z lufy i skoczyła przede mnie płynnym łukiem, wlokąc za sobą cienką srebrzystą nić. Dziesiątki takich nici wleciały nad drutami, opadły na nie - i jednocześnie eksplodowały białym, z lekka zielonkawym płomieniem. Termit. Dwie sekundy, trzy...

Koniec.

Zasieki przestały istnieć. Stały słupy, w kilku miejscach zwisały z nich rozżarzone strzepy... Druty odcięte dokładnie - jakby wieloma wielkimi nożami.

- Zatkaj uszy - powiedziałem. I sam wsunąłem dłonie pod hełm.

Ledwo zdążyłem.

Ścieżki przeciwwinowe zostały rozwinięte pięć minut temu. To takie szerokie drabiny sznurowe z czarnymi, podobnymi do ebonitu szczepkami. Leżały w poprzek całego zaoranego pasa, niemal sięgając zasieków.

Ktoś na szczęście pomyślał i nie zostały wysadzone wszystkie jednocześnie, a po kolei. Obawiam się, że gdyby walnęły razem...

I tak nas podrzuciło na ziemi, a potem w nią wdusiło - mocno i dokładnie. Długo nie istniało nic, poza mrokiem w całym ciele - i snopem krótkotrwałych niebieskich isker przed oczami. Potem nagle zaczęło nas skręcać, jak skręca ścierpniętą kończynę, kiedy wraca do normy...

Powstań! Powstań!

Wstaję.

Wolno...

Wokół czarno. Wybuchy nad ścianą. Posępne wycie gdzieś z tyłu.

Jak smykem po miedzianym kotle.

I od razu długa seria za plecami. Powietrze rozpryskuje się na strzepy. Pyskają kawałki muru. To bieriozin, straszna maszyna, nie nadaremnie od wojny niemal bez zmian. Tyle że rozpowszechniła się na cały świat.

Naprzód. Widzę okrągłe plecy Kosiczki. Przeturlał się, zaległ, pełźnie, podrywa się...

Naprzód. Naprzód.

Kosiczka jest obok. Leżę w błocie. Nad głową wizg niewidzialnych pił.

Kaem zagłusza inne odgłosy.

Wstać. Biegiem. Na czworakach, ale biegiem.

Dziury w ścianie.

Kolce wbijają się w brzuch. Olewam. Połowa drogi za nami, połowa, prawda?

Uderzenie w hełm. Leżę na ziemi. Podrywam się na czworaka. Pewnie na chwilę odpadłem, bo Kosiczka jest przede mną, i nie tylko on, widzę jeszcze czyjś tyłek...

Zupełnie bezgłośnie człowiek wlatuje w powietrze - w obłoku szarawego dymu - i rozrywa się na części.

Dzieje się to rzeczowo i prosto. Przed moją twarzą goły tors i ręka - zagarnia ziemię, zagarnia... A ja -

zupełnie spokojny - podrywam się, obiegam zwłoki i ponownie się kładę. Mur - już tu jest, rzut beretem.

Seria z kaemu chesze szczyt muru. Lecą kawałki betonu i kruszą się słupki z resztkami drutu. Ktoś w czerni pojawia się na mgnienie oka nad murem, wygina się i znika.

Prowadzą ogień z otworów w murze? Bardzo prawdopodobne.

Przekładam broń i puszczam kilka serii po otworach. Pomarańczowe iskry pokazują moje strzały, w tym przypadku pudła, Zresztą, coś tam przeleciało również przez dziury. W jasne światło otworów.

Cały mur pokrywają pomarańczowe iskierki, po których zostają plamy sadzy.

Nad głową wizg, zagłusza wszystko. Potem nie huk, tylko gwałtowne dźwięczne uderzenia, od których w oczach coś eksploduje i rozsypuje się. Wybucho i rozsypuje. Wybucho i.. Kosiczka biegnie gdzieś, hełm mu poleciał do przodu, usiłuje go złapać. Wygląda Kosiczka jakoś nie tak, ale nie potrafię określić, co mi nie pasuje. Niebieski dym dookoła. Znowu wizg.

To moździerz. Albo nasi dali złe namiary, albo...

Wciskam się w ziemię.

Podrzuca mnie...

Nie, żyję. Naprzód. Tylko naprzód. Chłopaki, teraz już tylko naprzód.

I - upadam pod murem.

Wizg.

Oto on, Kosiczka - o dwa kroki ode mnie. Też dobiegł. Trzyma hełm w wyciągniętych rękach. Wypełniony mózgiem.

Wybuchy. Białe gwiazdy, w które trudno jest uwierzyć i - czarny mur. Potem mur wolno rozwała się i opada. Pozostaje po nim nisko ścielący się dym.

Wstaję i patrzę.

Leżą. Leżą moi jegrzy, leżą... Ktoś pełźnie na oślep, dopełza i nieruchomieje. Dziesięć... dwadzieścia... wszyscy.

Wszyscy.

Wszyscy zabici.

Bez paniki.

Tak nie może być.

Wizg. Padam na ziemię.

Głowa w glebę.

Uderzenie. Ucho pęka. Oszołomiony odwracam się. Na wprost mojej twarzy z szarego betonu wystaje nierówny odłamek wielkości połowy dłoni. Wydaje mi się, że jeszcze drży.

Patrzę na niego i nie mogę odwrócić głowy...

Teraz powinny być wizg i uderzenie, kruszące świadomość, wizg i uderzenie, wszystko we mnie się napina... teraz... nie. Nie. Cisza. Niegłośno kuje kaem. Coś dymi w trawie.

Nie wiem, ile czasu minęło. Dużo. Wstaję - jak na bokserską komendę "dziewięć".

Boks.

Mur szary, szkieletowy. Słupy i poprzeczki, znaczy się, grube, pełne, a między nimi stosunkowo cienkie płyty, i na dodatek z wypukłościami w kształcie rombów. Tam, gdzie beton jest cienki, odłamki i pociski z bieriozina przechodzą przezeń bez trudu. Znajduję niewielką dziurkę tuż nad ziemią i przywieram do niej. Bardzo długo nie mogę pojąć, co widzę. Potem dociera do mnie, że to łokieć. Stoi sobie facet i pali. Stoi, opierając się o ścianę plecami (nie do ściany, poprawiam siebie, do słupa) - i pali, trzymając cygaretkę między kciukiem i wskazującym palcami. Spod łokcia widać rękojeść i kolbę automatu, wytartą i wyszczerbioną drewnianą kolbę z licznymi karbami... Automat poznaję nie od razu, ale w końcu rozpoznaję: dziewięćmilimetrowy steyer, wzór z pięćdziesiątego drugiego roku. Znajdował się na uzbrojeniu desantowych oddziałów *Reichu*.

Potem jest jeszcze jeden mur, niski, worki z piaskiem. Tu wszystko jasne...

Trzeba coś zrobić... co?

Ach, tak. Przepraszam, całkiem zapomniałem.

Siadam na ziemi, zdejmuję plecak. Mam tam dwa kilo "MC". Wybuchowa plastelina. Wyjmuję brudnobłękitne brykieciki, rozwijam i przyklejam do betonu. Dwadzieścia takich brykiecików.

Wyszła mi odwrócona litera ? z krótkimi nóżkami i długą poprzeczką.

Beriozin sypie serią gdzieś w lewo ode mnie. Wybucho tam strzelanina i krzyki. Mogę już słyszeć nawet krzyki?

Teraz detonatory. Bardzo przypominają choinkową girlandę: niebieski przewód i małe spiczaste lampki, co prawda, z czarnymi nieprzeźroczystymi cokołami. Obojętnie szpikuję "lampkami" brykiety "MC".

Coś się dzieje dookoła nas.

Wizg.

Zdążyłem upaść.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Około 14ej Baza "Sajan"

Tonąłem dwa razy w życiu. Drugi raz już jako dorosły i niemal tego nie pamiętam. Źle obliczyłem siły, ot i wszystko. Dopadł mnie skurcz. Odkryłem, jak mogę odpocząć... W sumie, proza. Natomiast pierwszy raz zapamiętałem na całe życie. Dziadek postanowił nauczyć mnie pływać. W tym celu wywiózł mnie łodzią na środek swojego stawu (dziadek był młynarzem) i wyrzucił za burtę. A ja posłusznie poszedłem na dno. Był słoneczny dzionek, woda w stawie cała przepikowana promieniami, przypominała raczej powietrze w kuchni w czasie wielkiego pieczenia pierożków i bułek. Dno stawu, piaszczyste, żwirowe, bardzo czyste, nadleciało na mnie szybko, wstałem na nim, odepchnąłem się... Dno łodzi wyglądało jak ciemna wyspa pośród lustrzanego morza. Skierowałem się ku wyspie i walnąłem w nią głową. Grube ryby podpływały do mnie i z zainteresowaniem wpatrywały się we mnie. I działo się jeszcze coś: słyszałem trąby, zwierciadło wody wygięło się, a ja jakbym patrzył w głębinę gramofonowego leja... A potem okazało się, że leżę na trawie na boku, a tłusta gąsienica wolno pełźnie, co i rusz robiąc z siebie stromą arkę. Nie istniało nic ważniejszego...

Dziadek siedział obok mnie. Jego białe wąsy zwisały w dół, kapała z nich woda.

Przypomniałem sobie coś ogromnego, coś niesamowicie ważnego, ale brakowało mi słów i obrazów, by to opisać.

Ale przez wiele dni jeszcze ja i dziadek chodziliśmy bardzo zamyśleni...

Nie wiem, dlaczego akurat teraz to sobie przypomniałem. I nawet miałem poczucie, że przypomniałem sobie coś ważnego... czy też może przeżyłem to jeszcze raz...

... Nasze mózdzierze zdołały jednak zdławić wstrzelane baterie bazy, które zmasakrowały nas na samym początku ataku. Przez kilka wyłomów w murze (w tym i przez mój) jegrzy wdarli się na teren bazy. Znalezione tylko sześć ciał wroga, a ich badanie nic nie dało: brakowało obowiązujących w oddziałach desantowych *Reichu* tatuaży z grupą krwi, stalowych bransolet, medalionów. Już nie wspominając o dokumentach.

Teraz przeciwnik bronił się w miasteczku, na lotnisku i w pierścieniu umocnień dookoła silosów raketowych. Nie próbował kontrataków i nawet ostrzeliwał się słabo, jasne było, że gra na zwłokę. Zajmowaliśmy stanowiska wzdłuż murów: okopy, gniazda kaemów, dwie ocalałe wieże z karabinami plot. I też z jakiegoś powodu graliśmy na zwłokę.

Byłem już dowódcą plutonu, a moimi dowódcami drużyn byli Wrangel i Porotow, obaj podrapani i poparzeni, ale zdolni do walki. Wśród oficerów mieliśmy ogromne straty, dlatego wszystkie kompanie zostały połączone po dwie, ale i tak wieloma plutonami dowodzili kaprale.

Miasteczko w bazie - osiem kwartałów budynków mieszkalnych i jeden komunalny: szkoła, sala kinowa, coś tam jeszcze - zbudowane zostało w stylu przeciwdesantowym: kwartały oddzielone od siebie rejonami umocnień, okna-strzelnice w grubych murach, mocne wysokie płyty między domami...

Gdzieś tam zamknięte są rodziny oficerów bazy.

Oczywiście, szturm miasteczka nie jest konieczny. Można od razu walić na silosy. Ale to by oznaczało, że przez cały czas ataku będziemy ostrzeliwani z tyłu, z dystansu poniżej pół kilometra i na dodatek z niewielkiego wzniesienia...

- Kursant Walinecki!

- Jestem.

Nieznany mi porucznik. Bez hełmu, w panamie. W szturmie najwyraźniej nie uczestniczył.

- Wzywa was do siebie pułkownik Siemionow. Proszę za mną.

Wstałem. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że wstając, przebiłem głową jakąś niewidzialną błonę i znalazłem się nie wiadomo gdzie. Tutaj wszystko było niemal takie same, ale też i inne. Albo może błyskawicznie zapomniałem, jak wyglądał mój świat sekundę temu. Idealna podróbka...

- Tak jest - powiedziałem.

Głos też nie był mój.

- Kim byliście w cywilu? - zapytał, nie odwracając się, porucznik.

- Wdrożeniowiec systemów obliczeniowych...

Panama porucznika nagle rozchyliła się jak płatki kwiatku na wiosnę i wolno wzbiła się w powietrze. On sam osunął się na kolana, a potem zwałił twarzą w trawę, obejmując głowę rękami. Znalazłem się obok niego. Załatwiony... Niech to diabli. Porucznik przez kilka chwil nie ruszał się, potem zaczął obmacywać głowę... Nie wylała się ani kropla krwi, tylko spuchł mu guz wielkości jaja, taka wypukła łysina - pocisk wyrwał mu włosy z korzeniami.

- Fart - powiedziałem. - Proszę wstać, ale nie prostować się. Bo znowu nas wypatrzą z dachu.

Punkt dowodzenia pułkownik założył na jednej z wieżyczek plot. Widok stąd był niezły: miasteczko, lotnisko z hangarami w oddali, silosy. Za hangarami, gdzie do bazy dochodziła betonowa droga ze stacji, waliły armaty: ocalałe czołgi, nie zbliżając się na dystans ostrzału, metodycznie wygryzały gniazda kaemów. Trzy wozy z pięciu spłonęły w pierwszym natarciu.

Pułkownik stał plecami do wszystkich obecnych i przyglądał się czemuś przez lornetę nożycową.

Popatrzyłem na Goriełowa. Ten skinął mi głową i niemal uśmiechnął się. Na dole, na schodach rozległ się hałas, w otworze luku pojawiła się głowa w niebieskiej czapce z daszkiem i orłem w nieznanym mi konfiguracji, ale z wyraźnie generalskimi pagonami na ramionach. Za nim szedł nasz Timothy, bardzo zdenerwowany. Pułkownik oderwał się od obserwacji.

- Panie generale brygady, witamy na powierzonym panu obiekcie - zsalutował krótko i precyzyjnie. - Czy został pan wprowadzony w sytuację?

- Witam, panie pułkowniku. - Generał oddał honory, mówił niemal bez akcentu. - Tak, zapoznałem się po drodze. Siedzimy głęboko w gównie, prawda? - Uśmiechnął się szeroko.

- Zaiste tak jest - powiedział Siemionow. - A propos, proszę nałożyć hełm. Strzelają.

- Czy już wiecie, kto zajął bazę?

Pułkownik pokręcił głową.

- Nie. Możemy tylko przypuszczać, że to zachodni Rosjanie.

- Ale jak mogli tu dotrzeć? Z Uralu?

- Właśnie. Ale zbadanie ich trasy to sprawa dla kontrwywiadu. Kapitan ma pewne przypuszczenia... -

Pułkownik wskazał brodą tego wąskookiego, którego widziałem podczas pierwszej wizyty w sztabie. -
Nasze natomiast wspólne zadanie to zapobieżenie odpaleniu rakiet.

- Tak, oczywiście, to jasne. Ale widzi pan, drogi pułkowniku... - Generał zawahał się, przejechał wzrokiem po obecnych, zatrzymał się na mnie, potem kontynuował, podjąwszy w duchu jakąś decyzję. - Wie pan, oczywiście, że baza jest połączona bezpośrednim łączem kablowym z moim prezydentem. Tuż przed wylotem poinformowano mnie, że podczas testu łączności wykryto dodatkowy opór indukcyjny. Rozumie pan, co to oznacza?

- Ktoś przysłuchuje się pertraktacjom bandytów z waszym prezydentem?

- Rozmowy, tak naprawdę, nie są prowadzone. Oni wysyłają pewne komunikaty, akty oskarżenia, jednak nie ma tam żadnych warunków... Ale ja nie o tym. Uszkodzenie kabla.

- Tak - powiedział pułkownik. - To jest, rzeczywiście, duża sprawa. Mimo to wydaje mi się, że nie w tym kryje się nasz największy aktualny problem, generale. Może lepiej porozmawiajmy o tym, czego się nie da odłożyć na potem.

- Nie ma pan racji. Problem zaufania w tym przypadku jest najważniejszym problemem.

- Właśnie. Dlaczego wasza ochrona tak łatwo wpuściła wozy na teren bazy?

- Nie wiem. Ale się dowiem. Będę to wiedział na pewno.

- No właśnie. Więc może jednak zastanówmy się nad sprawą. Wdarliśmy się na teren i okopaliśmy się. Czy istnieje możliwość przeniknięcia do silosów jakąś inną drogą - z pominięciem umocnień?

- Nie.

- Tylko przez sztolnię szybu, kołpak którego jest widoczny na lewo od tej grupy drzew?

- Właśnie tak.

- A jeśli ktoś się zamknie od środka, to już żadnym sposobem nie da się go wyłuskać? Aż do momentu, kiedy rakietę wystartuje?

- Tak to było wymyślone. Na dziś - niestety.

- Ale, jeśli dobrze rozumiem, w danej chwili rakietę jest całkowicie bezbronna? Można by ją rozwalić z kaemu?

- Tak. Kaliber pięćdziesiąt przeszywa ją na wylot.

- Należy przypuszczać, że nasi oponenty o tym wiedzą - i mimo to... Nie wydaje się panu, generale, że proponują nam poczekać aż do ostatniej chwili?

- Wiele rzeczy mnie tu dziwi.

- Proszę posłuchać, to nonsens: zagrzebywać się w ziemi na głębokość stu metrów, żeby w decydującej chwili wyjść i wystawić pod ostrzał miękkiego brzuszka?

- Ma pan całkowitą rację, pułkowniku. Niestety, planiści nie wymyślili nic innego, jak tylko to, żeby na stanowisku startowym stale była gotowa zatankowana rakietę...

- To wiem. Została wysadzona. Mnie interesują pozostałe. Czy zostały przewidziane jakieś środki ich obrony w chwili wyprowadzania na stanowisko startowe i podczas samego startu?

- Tylko zasłona dymna. Bardzo szczelna zasłona dymna.

- I tylko tyle?

- Doświadczenie wykazuje, że to praktycznie wystarcza. W kampanii pięćdziesiątego szóstego roku rakietę bazowały w ogóle na odsłoniętych placach. I czy wiele z nich udało się przeciwnikowi zniszczyć?

- A wiele, tak przy okazji?

- Sześć z pięćdziesięciu u nas i cztery z trzydziestu sześciu u Japończyków. Morskie bazy okazały się mniej pewne.

- Dym, znaczy się...

- Poza tym, pułkowniku, proszę uwzględnić jeszcze to: rakietę jest bezbronna tylko wtedy, gdy jest stawiana pionowo. To trwa około półtora... dobrze powiedziałem? minut. W czasie transportu po polu rakietę leży w doku transportera i jest osłonięta ze wszystkich stron.

- To jasne. Tak, nie da się zagwarantować zniszczenia.

- Nie da się. Nawet gdyby tu było wasze lotnictwo.

- Nasze.

- Oczywiście. Jasne - nasze. Tak.

- Ale w dobrze pojętym interesie, generale, dobrze by było spróbować teraz myśleć w tej chwili jak tamta

strona.

- To trudne. Ja nie rozumiem, jaki mają cel.

- Niestety, ja też. Kapitanie, ma pan jakieś przemyślenia co do prawdziwych celów naszych oponentów? Wąskooki kapitan wysunął się nieco do przodu. Zobaczyłem teraz, że tak naprawdę nie jest wąskooki, a tylko należy do tych ludzi, którzy ciągle i na wszystko patrzą zmrużonymi oczyma.

- Za bardzo starają się wyglądać na głupich - powiedział. - I to mi się tak naprawdę w tym wszystkim nie podoba. Proszę powiedzieć, panie generale, czy w ciągu tych godzin, jakie jakoby potrzebne im są do zatankowania rakiet - można zdjąć głowicę z rakiety?

- Jas-s-sne... - wolno powiedział generał. - Sądzi pan, Owidiuszu Andriejewiczu, że?

- Sądzę, że przez cały czas wyświetlają nam jakiś durny film, a to, co najciekawsze, odbywa się tymczasem za ekranem. Może pora, by zajrzeć i tam. Tak jakby niechęć, przy okazji. Panie generale, chcielibyśmy otrzymać do dyspozycji prawdziwy plan bazy.

Zapadła cisza.

- Straciłem już stu dziewięćdziesięciu ludzi - powiedział bardzo spokojnie pułkownik - tylko dlatego, że nie znałem systemu obrony perymetru zewnętrznego. Ci ludzie, którzy poszli na wasze miny - to nie zawodowi żołnierze, niemal każdy ma rodzinę, żonę, dzieci, wielu - swoje interesy. Ale pakowali się do waszych pułapek, które i tak nie gwarantują niezawodnej obrony waszej choleralnej bazy, a tylko... - Zdławił siebie jak niedopałek. - Krótko: w miasteczku są jeńcy i ich rodziny. Jeśli jest najmniejsza szansa na zdobycie miasteczka nie przy pomocy szturm, to muszę ją wykorzystać.

- Wie pan, że drogę od bazy do stacji opanowali saperzy - powiedział kapitan z kontrwywiadu. - No więc oni przekazali, że płynąca dookoła bazy rzeczka jest bardzo gliniasta. Świeża czerwona glina. Rzeczka przepływa przez wykop, nie mylę się? A to oznacza, że prowadzicie jakieś nowe prace podziemne?

- To też jest informacja tajna - powiedział generał.

- Nie pozwolono panu odtajnić tych danych?

- Nie.

- Nawet biorąc pod uwagę to, co pan przed chwilą powiedział o kablu?

- Tak.

- Dość absurdalne, nie sądzi pan?

- Nie mam prawa łamać polecenia prezydenta - powiedział ponuro generał.

- W takim razie wydam rozkaz natarcia na miasteczko - powiedział pułkownik.

- Ja też nie widzę innego wyjścia - powiedział generał. - Proszę pana, pułkowniku, o spowodowanie, bym otrzymał hełm i karabin. W końcu to moja baza i zakładnikami są moi ludzie.

- Nie. To by było zbyt łatwe dla pana - powiedział pułkownik. Jego twarz, szczególnie skrzydełka nosa zbladły, na kościach policzkowych pojawił się rumieniec. - Kapitanie Goriełow.

- Jestem.

- Według planu.

- Tak jest.

- Proszę się starać... cywili...

- Tak jest. Proszę o pozwolenie odejścia.

- Zezwalam. Teraz wy, kursancie. Przechodźcie pod komendę kapitana Kriestowikowa.

- Rozkaz. Czy mogę zadać pytanie?

- Nie możecie. Odmaszerować.

- Tak jest.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 15.45. Wieś Sajgi. Okolice bazy "Sajan"

Deszcz zalewał szyby i zagłuszał wszystkie dźwięki. Nie byłem nawet pewien, czy to, co słyszę to odgłosy walki czy tylko uderzenia kropel o żółknące korony drzew. Dlatego, kiedy kapitana nie było, zacząłem słuchać radia. U kapitana Kriestowikowa znajdował się znakomity odbiornik.

Świat ogarnęła panika. Ludzie uciekali z miast, trwał pobór do szeregów armii, startowały bombowce, floty wychodziły w morze... Wszelacy kanclerze, prezydenci i cesarze wisieli na telefonach "gorących linii". Jacyś wojskowi komentatorzy, ludzie bez krzty wstydu i intelektu, usiłovali wyjaśnić mi, jak mam się

zachowywać w chwili ataku jądrowego, a jak chwilę po nim. Po dwudziestu minutach dygotałem, nie wiem tylko: ze złości czy ze strachu o bliskich... ciągle jeszcze bliskich...

Drużyna Wrangla: on sam, Sasza Bałachnin i Maks Potylicyn, stary przyjaciel Wrangla - siedzieli w naszym wozie, dwie inne drużyny z dobrym erkaemem - w drugim. Tam też chłopaki słuchali radia... Trudno uwierzyć, ale dopiero teraz docierało do nas wszystko.

Wrócił kapitan, a z nim ów Wydra, na którym skoncentrowały się wszystkie jupitery dnia dzisiejszego. Weszli do wozu, zdzierając z siebie peleryny, rozeszła się woń mokrego filcu. Nigdy wcześniej tego Wydry nie widziałem, ale nie można go było pomylić z kimkolwiek. Wydra przypominał ożywionego kamiennego idola, jakich sporo widzi się w tych okolicach. Niższy ode mnie, ważył pewnie ponad sto pięćdziesiąt. Czarna twarz, pokryta dziobami po ospie, malutkie oczka, ręce do kolan. Cholewki koszmarnych butów były ponacinane i zasnurowane nie wyprawionymi rzemykami - inaczej nie wcisnąłby monstrualnych łydek w buty. Pan miedzianej góry...

- Aha! - powiedział, widząc mnie. - No to witaj, witaj...

Ostrożnie uściśnął mi rękę - zdawał sobie sprawę ze swej siły. Moja dłoń jakby znalazła się pod młotem parowym, kierowanym przez zręcznego kowala.

- A samochodzik się przedostanie, co? - zapytał niespokojnie Wydra. - Droga tam nijaka, a jak popadywa to jeszcze gorzy.

- Przejedzie - powiedział kapitan. - Powiadasz, znaczy, Timofieicz, że to nie byli geolodzy?

- Egh! - zaprzeczył. - Geologa to ja na wiorstę pod wiatr poznam. A te byli takie, rozumisz, takie gładkie wszyscy... nie da się wyjaśnić. Niby wszystko jak u geologów, a - nie geologi.

- No to trzeba było zgłosić.

- Egh! To nie my zgłaszać. Nie.

Kapitan wciągnął powietrze kącikiem ust.

- Tak - powiedział. - Rozumiem. Timofieicz, tam, pod murem - już dwie setki naszych legło, a ile jeszcze legnie - strach pomyśleć.

- Co prawda, to prawda... - powiedział Wydra i zamilkł.

- No to gdzie mamy jechać? - Kapitan westchnął, przesiadł się do przodu, za kierownicę.

- Przez wieś i po lewą rękę uwidzisz przesiekę...

Ruszyliśmy, drugi niedźwiedź też ryknął silnikiem.

Droga nawet we wsi była nieciekawa, wyboje i dziury, a przez przesiekę, wieki temu porośniętą cienkimi osikami, prowadziła tylko koleina. Terenówka nurkowała w jakichś dołach, kiwała się z boku na bok, ale waliła równo przed siebie - do góry i przed siebie.

- Kto tak drogę rozwalił, co, Timofieicz? - przekrzykując ryk silnika, zapytał kapitan.

- A ciągniki z drewnem. Dopiero trzy lata temu przestali drewno wywozić. Anielski las sprzedali, słyszałeś?

No i tak to... A jaki las to był! Ech, chemicy...

- Czy to tam, gdzie pustelnia Agafona była?

- Ta. A ty skąd o pustelni wiesz?

- A kto nie wie... Zbychu Ryszardowiczu, proszę przejść tu do mnie, mamy do pogadania.

- Tak jest... - Przelazłem na przednie siedzenie i huknąłem mocno łbem o trapez, na którym w boju siedzi erkaemista. Bolało jak cholera, a w następnej sekundzie po czole spłynęła krew. - Matko Boska...

Już mnie ciągnęli za portki do tyłu, z serią podśmiechujek przemyli wódką dziurę w skalpie i nałożyli zielony polowy bandaż; dopiero po dziesięciu minutach wykonałem do końca polecenie kapitana: usiadłem na przednim siedzeniu i przygotowałem się do rozmowy.

- A tera, od tego kamulca w prawo - pokazał Wydra.

Kamulcem Wydra nazwał szarą okrągłą skałę wielkości trzypiętrowej kamienicy. Na górze ktoś napisał niebieską farbą "My - Kołczakowcy". Za skałą od zmasakrowanej leśnej drogi odchodziła parowem zielona ścieżka, po której można była jeździć chyba tylko konno.

- Ale tu grzybów! - wpadł w zachwyt kapitan.

Ścieżka czerwieńla się kapeluszami ogromnych surojadek.

- A grzybny rok nynie - chętnie zgodził się Wydra. - Nie wiemy co z nimi robić. Wszystkie beki już zasoliliśmy. Ot, jeśli wrócimy, rydzami was ugoszczę. Ze śmietaną, pod siemionowską - ych, jak dobrze wchodzą.

- Szczególnie po łaźni - powiedział kapitan.

- Toś dobrze zauważył, kapitanie - zgodził się Wydra. - Jak nie wypić po łaźni? Nijak nie można.
- Zbychu Ryszardowiczu, rozumiesz już, do czego się szykujemy? - zapytał kapitan, patrząc przed siebie. Widziałem jego profil: niemal mefistofelesowy, tyle że nieco krótkonosy.
- Pójdziemy pod ziemią - powiedziałem. - Może dokądś dojdziemy.
- Nawet na pewno, nie może. Sam się zdziwiłem, kiedy się dowiedziałem, ile tu wykopano najprzeróżniejszych szybów i sztolni. Nie ma co się dziwić, złotonośna ongi była ziemia. Teraz też się co nieco zdarza. Słyszeliście, jak pewien amerykański kapral samorodek znalazł?
- Słyszałem.
- No i niech go lichy porwie, to złoto. Timofieicz, jednakże, powiada, że zna wejście do starej sztolni. I że tak z miesiąc temu szukali jej jacyś ludzie.
- O tym słyszałem.
- No więc, ta stara sztolnia ma korytarze, przechodzące, najwyraźniej, nieopodal silosów. Kiedy silosy były budowane, dwukrotnie natykano się na puste miejsca. Przynajmniej tyle generał zdradził. Bydlak. Nienawidzę takich typów. Wiecie, dlaczego był poza bazą? A zresztą, niech go cholera. Nie chce mi się języka strzępić. Muszę powiedzieć, Zbychu Ryszardowiczu, że mam pewne, niczym nie potwierdzone przypuszczenie, że nowa budowa... właściwie, nowy wykop Amerykanów wiąże się bezpośrednio z tą sztolnią.
- Dlaczego tak myślicie?
- No... ten samorodek w wykopie. I jeszcze inne rzeczy. Takie pośrednie. Przemilczenia. Intuicja wreszcie. Zresztą, wy sami to rozumiecie...
- Timothy, pomyślałem. No jasne.
- Nie wszystko - powiedziałem. - Na przykład, nie rozumiem, dlaczego właśnie ja...
- Kapitan obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, potem znowu zaczął się gapić na drogę.
- Przede wszystkim dlatego, że jesteście jedynym osiągalnym specjalistą od systemów obliczeniowych - powiedział.
- Rozumiem, pomyślałem.
- Czyli poważnie sądzicie, że mamy szansę przedostać się do bunkra dowodzenia?
- My po prostu nie mamy innego wyjścia...
- Powiedział to cicho i beznamytnie, a ja od razu uświadomiłem sobie, że tak - innego wyjścia nie mamy. Wydra wysunął się z tyłu, położył brzuchem na pokrywie silnika.
- Zara będzie w lewo - to tam ostrożnie trza...

Krajobraz zmienił się gwałtownie, skokowo - jak przy sklejeniu taśmy filmowej. Dopiero co otaczały nas brzozy, paprocie po szyję - i nagle dywan z twardych płożących się krzewów, z którego wystają gdzieś tam ciemne głazy. Droga zanikła całkowicie, niedźwiedź kiwał się i skakał jeszcze gwałtowniej, o-o-o! - wskazał gdzieś w bok grubym palcem Wydra, skręciliśmy gwałtownie i wjechaliśmy w gwałtownie opadający zagajnik. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i z prawej ukazał się zupełnie tianszańskie pokroju wąwóz: szare osypiska i czarne skały, rzadkie sosenki... Widać było, że ta "droga" prowadzi na samo dno, w buro-zieloną pianę, przez którą prześwituje kręta linia rzeczki.

Droga była straszliwa. Mokra glina, mokry czerwonawy żwir, mokre czarne, nadżarte z wierzchu bale, umacniające brzegi skarpy. Pieszko i to w dobrą pogodę - strach by było iść...

- Przejedziemy? - zważył kapitan.

- Czemu nie? Pod górę wjechalim, to i z góry sturlamy. Dwa lata temu na starym kosiarzu przejechalimy...

- No, skoro na kosiarzu...

Om -100, inaczej - *kosiarz*, był nieudanym wozem, to wiedzieli wszyscy. Jednakże, nie wiadomo dlaczego, w swoim czasie natłuki tego badziewia co niemiara. Nie było nań zapotrzebowania w miastach, dla których jakoby był wymyślony, kosiarz niewiarygodnie spadł w cenie (właśnie do wysokości *kosiarza*, jak lud nazywał tysiąc rubli) i wolno, bo wolno, ale został rozkupiony przez wieśniaków. I to oni, biedni, potem się z tym męczyli.

A jazd był koszmarny. Wszędołaz haratał lewym bokiem o kamienistą ścianę, a prawe koła, wedle moich odczuć, chwilami ubijały pustkę. Bóg mi świadkiem - chętniej wróciłbym pod ostrzał...

31 sierpnia. Godzina 17.20. Okolice bazy "Sajan". Stara sztolnia

- No i, znaczy się, jesteśmy... - Wydra poświecił latarką we wszystkie strony. - Jakby co innego było, to bym pokazał, ale ni ma.

N-n-noo tak... Kapitan i jęgrzy za moimi plecami, i ja sam, oczywiście - gapiliśmy się w milczeniu na tę na dwie połowy rozwaloną ścianę z belek, w której krzywo ugrzęzły takie same rozwalone drzwi. Śmierdziało zgnilizną, grzybami i jeszcze jakimś niezrozumiałym i niepokojącym świństwem... Wszystko było tu czarne i wyglądało, jakby miało się rozsypać przy najmniejszym dotknięciu. Nad głowami mieliśmy strop z desek, w trzech czwartych składający się z dziur. Barykada z zardzewiałego żelastwa sięgała mi do ramieniu. Zwalono tu jakieś koła, beczki, kosze wagoników, kawałki rur, zwoje liny...

- Tu była kolejka linowa - powiedział Wydra, widząc moje spojrzenie. - Na dole rzeczki była zapora, kruszarka... Chłopy chciały na niej cuź zemleć, ale nic nie namleli.

- A coście stąd wywozili, co? Timofieicz? - zapytał kapitan. - W ubiegłym roku?

- A pompę. Stała tu dobra, parowa - chętnie odpowiedział Wydra. - Taka pompa! Sto lat skończy w sobotę, a pompi i pompi, że hej. Jeszcze niemiecka, z przedtamtej wojny. Cudo. I można i drewnem palić, i węglem, i ropą, co jest, wszystko pożre.

- Czyli sztolnia może być zalana, jak pompy nie ma? - zapytał kapitan.

- Nie. Wyszło tam wszystko. Nie zaleje, nie ma czym.

- I co - prowadzi pod bazę?

- Wygląda że tak. Przez górę przebija, potem skręca - i akurat pod Amerykaninami rozchodzi się. W prawo idzie szeroka sztolnia, potem w dół z sześć małych - czasem to i na leżąco kilofem skubali.

- A czemu tak ciekawie to robili?

- Jakoś tak robili. To nie za moich czasów było. Gdzie tam. Trafiłem na tabliczkę miedzianą: jeden tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty pierwszy rok, kupiec Borodin. A co się dziwować - szli za żyłą, za kwarcem. Widać żyła była bogata...

- Timofieicz, a kiedyś tu ostatni raz był?

- A tak... z pięć років będzie...

- Jasne. Musimy iść. Tak więc, grupa bojowa, rozkaz...

Jakkolwiek było to dziwne, sama sztolnia nie wyglądała tak rozpaczliwie jak samo wejście do niej.

Rzeczywiście było tu sucho, a nawet ciepło: dobre osiem stopni. Zaczęliśmy schodzić - prowadził Wydra, potem szedł kapitan, potem ja - po mocnej drewnianej drabinie, odgradzonej kratą od nie mającego końca łańcucha z pogniecionymi zardzewiałymi kubłami. Nie wiem, jak się takie ustrojstwo prawidłowo nazywa.

- Dowódco! - krzyknął ktoś z góry. - Panie kapitanie, tutaj...

- Proszę zdecydować - rozkazał mi kapitan.

Stał przed wejściem do ciemnej sztolni. Wejście obramowane było arką z kamiennych głazów. Tchnęło od niej jakąś rzeczowością, solidnością dawnych górników.

Do sztolni prowadziły szyny - przypominające tramwajowe, ale z podłużnym wyżłobieniem na wierzchu.

Tory były wąskie - jakieś czterdzieści centymetrów. Tu były przywożone wagonetki, ładunek wywracany do bunkra, a stąd wywożono urobek kubłami do góry...

Wydra poświecił na sufit - dość wysoki w tym miejscu - czegoś tam wypatrywał.

Polazłem z powrotem po drabinie - w górę. Porotow zrobił mi miejsce.

- Co jest? - zapytałem.

- No tego... dowódco... zdarza się. Nerwy.

Nerwy - u Wrangla. Zerknąłem tylko i już wiedziałem, że nie ma co go namawiać i mu rozkazywać mu.

Takie białe oczy... Klaustrofobia. On mi kiedyś mówił, a ja zapomniałem. A ten biedak pewnie myślał, że da radę...

- Sierioża. Słyszysz mnie?

Spazmatyczne skinienie głowy.

- Nie pójdziesz pod ziemię. Ty i... - poszukałem wzrokiem - ... kursant Potylicyn. Weźcie erkaem. Granaty. Oslaniajcie nas w tym miejscu. Ale - żeby na mur.

- Tak jest.

- Tak jest, dowódco... - i cicho: - Dzięki, Zbychu...

- Problemy? - zapytał kapitan, kiedy wróciłem na dół.

- Melduję, że nie. Zostawiłem osłonę tyłów.

- Mądrze... Idziemy. Biegiem, marsz.

I pobiegł pierwszy.

Przodkowie nasi budowali niezawodnie. Tylko w dwóch miejscach korytarz był uszkodzony, tam musieliśmy się przeczołgiwać. Za drugim zawałem Wydra kazał nam wszystkim usiąść, sam poszedł do przodu i wkrótce wrócił drezyną.

- Żyje starucha - powiedział wesoło.

Pomyślałem nagle, że sztolnia nie jest aż tak znowu zapuszczona.

- Chciwce łążą - powiedział Wydra, jakby odpowiadając na nie zadane pytanie. - Ciągłe szukają lwiej głowy, a znaleźć nie mogą...

Chciwcami, jak wiedziałem, nazywają wędrownych poszukiwaczy, nie mających swoich działek, a skubiących gdzie się tylko da. Na nich przypadła spora część przestępstw w tajdze i w górach, i to również ich ciała najczęściej znajdowano na odludnych ścieżkach z ładunkiem śrutu w piersi albo w plecach...

Jakoś mi to nie pasowało: liczba mnoga "chciwców" i nieudane poszukiwania sztolni przez fałszywych geologów. Ale nie udawało mi się nic wymyślić, myśli jakoś odpadły, wyraźnie czułem mocną przegródkę ustawioną w poprzek mózgu... Zresztą, słyszałem o takich rzeczach: miejscowi wiedzieli o zjawisku czy obiekcie wszystko, przyjezdni - nic. Widać w danym przypadku coś takiego miało miejsce.

- Co to za głowa lwa? - nastroszył się nagle kapitan. - Ten słynny samorodek?

- Yhy - odpowiedział Wydra. - Na którym Borodinowi wywróżyli... - i zaczął opowiadać interesującą historię o tym, jak to kupcowi Borodinowi wywróżył pewien starzec: zostanie znaleziony w borodinowskiej kopalni samorodek wielkości rysiej głowy, ale potem wymrą synowie kupca jeden po drugim, a żona straci rozum. A żeby kupiec mu uwierzył, to proszę... - i stary zapodał jakąś przepowiednię, co się od razu tego samego dnia sprawdziła. A w następnym miesiącu meldują kupcowi: w grudzie kwarcu znaleziono samorodek, od głowy kota większy, przypominający głowę lwa. No więc zarządził jakoś tak sekretnie kupiec - i nie został wyniesiony z kopalni ten samorodek, gdzieś go honorowo pochowali... Od tego czasu wyczyszczono kopalnię całkowicie, nawet kwarc już się nie trafia, ale ciągle łążą tu ludzie, co chcą tę zgubę znaleźć...

Zdarzyło się to na początku siedemnastego, a już w dwudziestym roku nie miał kupiec ani jednego syna, a żona straciła rozum. Sam Borodin jakoś przeżył to nieszczęście i ruinę, a w czterdziestym drugim odzyskał cały majątek, ale do kopalni się nie zbliżał, nie przyjeżdżał tu. Nie sprzedał jej i sam z niej nie korzystał. A umarł całkiem niedawno, jakieś sześć - siedem lat temu...

Potem, odpocząwszy, pouczepialiśmy się drezyny, przysposobiliśmy latarki, Wydra i Samosionok, jegier z drużyny Porotowa, silny kwadratowy chłop, w cywilu układacz torów, chwycili za draży - i zgrzytając, wolno, ale rozpędzając się, coraz szybciej i szybciej, poturlaliśmy się po głucho dudniących szynach. Wszystko to było jakieś koszmarnie nierzeczywiste. Wydawało mi się, że siedzę w kinie.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 19-ta. Stara sztolnia

- Na jakiej jesteśmy głębokości? - Kapitan patrzył do góry. Prowadził tam pionowy szyb o niezwyklej sześciokątnym przekroju. Promień latarki zanikał, nie sięgając krawędzi.

- A kto ją tam mierzył? - Wydra wrzucił ramionami. - Jakies ponad pół setki metrów, ale nie setka.

- A studnia gdzie prowadzi?

- Komora tam jest głucha, a po co - nie wiem, nie. Coś tam w ziemi grzebali, ziemię wyjęli, żelazo wbijali... Ostatnie dwieście metrów przedzieraliśmy się przez sterty wagonetek. Wyglądało, że zostały tu umyślnie pościągane i poprzewracane. I oto teraz szyny kończyły się przed barierą z grubych jak cholera belek, sztolnia rozszerzyła się dwukrotnie, oszalowanie było gęstsze i jakby solidniejsze, strop pokrywała gruba warstwa sadzy - jakby tu coś długo płonęło i kopcilo się.

- Musimy się śpieszyć - powiedział kapitan. - Chłopcy! Patrzeć pod nogi, szukać świeżej gleby. Naprzód, marsz...

- No to tu mamy świeżą - powiedział Porotow, pochylając się.

Wyprostował się. Na dłoni miał świeżą rudą glinę.

I wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Nie odzywając się, chwyciłem erpezet. Mogłem nim strzelać nie tylko termitowymi sznurami, ale i kotwą z mocną linką - żeby zaczepić i podciągnąć. Albo, jak w naszym przypadku, podciągnąć się samemu.

"Głucha komora" była rzeczywiście głucha: niskie, nawet nie trzymetrowe, całe zastawione drewnianymi podporami pomieszczenie. W dwu miejscach sufit był znacznie wyżej. Widocznie w tych miejscach coś miało być ustawione, jakieś kruszarki, maszyny, kotły...

Pod nogami cicho kruszyły się grudki gliny.

Nagle złapałem się na tym, że z całych sił staram się nie myśleć: a co tam na górze? Kto jeszcze żyje? I w ogóle...

- Tam jest! - świszczącym głosem oświadczył kapitan gdzieś z ciemności.

To był koniec rury - cienkościennej stalowej rury, wychodzącej ze ściany na wysokości kolan. Kapitan siedział przed nią w kucki i wpatrywał się w jej wnętrze.

- No to jak, Zbychu Ryszardowiczu? Doszliśmy? - mówił bardzo cicho.

- Nie wiem - odparłem jeszcze ciszej. Co jeszcze można było powiedzieć?

Kapitan wstał, narzucił na końcówkę rury swoją kurtkę, przywołał mnie ręką. Odeszliśmy dalej od wylotu.

- Jeśli nasz przyjaciel niczego nie poplątał, to ta rura doprowadzi nas dokładnie i bezpośrednio do hangaru z raketami. Tyle że... - rozłożył ręce, pokazując średnicę rury. - Osiemnaście cali. Albo dziewiętnaście. Nie przeleziemy.

- Po co w hangarze taka rura?

- Sam chciałbym wiedzieć. Przeleziemy?

- Ja przeleżę.

- Sądzę, że ja też. A poza nami chyba nikt. Jaki masz numer ubrania?

- Czterdzieści sześć.

- Ja nieco więcej. Przyjdzie ci iść pierwszemu, bo lepiej, jak się zatka droga powrotna.

- Zostawi tu pan oddział zaporowy, kapitanie?

- Dokładnie tak. To co? Z Bogiem?

- Trzeba wydać rozkazy oddziałowi.

- Proszę wyznaczyć zastępcę...

- Tak. Już...

Nagle dotarło do mnie, że nie mogę kiwnąć palcem. Kompletnie straciłem orientację, kontrolę nad sobą... cicha panika.

- Proszę rozkazać: niech wszyscy tu przybędą. Pan dowodzi, chorąży.

- Jestem kursantem.

- Awansuję pana poza kolejnością. Mam prawo.

- Nie ma pan.

- Na dodatek kiepsko pan zna Regulamin. Rozdział siedemnasty. Działania w okolicznościach nadzwyczajnych. Tymczasowe jednostki...

- Rozumiem.

- Proszę odpowiadać jak należy.

- Ku chwale Ojczyzny.

- No, lepiej. Proszę wydać rozkazy, chorąży...

Za przykładem kapitana zdjąłem kurtkę, przykryłem nią rurę, potem podszedłem do studni, pochyliłem się - w twarz uderzyła słaba, ale wyraźnie wyczuwalna fala powietrza, która przyniosła ze sobą odgłos odległego wybuchu.

Niemal jednocześnie pojawiła się biała plama twarzy. To był Samosionok. Bez słowa wygrzebał się ze studni.

- Z tyłu strzelanina, dowódco - powiedział. - Słyszeliśmy.

- Rozumiem - powiedziałem. - Cicho bądź, nie hałasuj.

Za nim pojawili się pozostali. Wydrę wyciągnęliśmy jak wiadro - na sześć rąk.

- W szeregu zbiórka - rozkazałem szeptem. I, kiedy się ustawili: - Chłopaki, który w cywilu nosi ubrania numer czterdzieści osiem?

- Ja - powiedział Porotow.

- Ja noszę spodnie czterdzieści osiem - powiedział Kostia Porochowszczik, dowódca drugiej drużyny.

Pozostali milczeli.

- Sprawa jest taka - powiedziałem. - Dalsza droga prowadzi rurą o średnicy poniżej pół metra. Ja, jako najchudszy, idę pierwszy, pan kapitan za mną, Wasia - jako trzeci. Pozostali - jak się uda. Przeciągnę za

sobą linkę...

- Wszystko jasne, dowódco - powiedział ktoś.

- Ci, co zostaną tu, osłaniają nasze tyły. Obawiam się, że pierwsza osłona już... po wszystkim. Pod moją nieobecność dowodzi... - Przyjrzałem się obecnym, powinienem wybrać największego i najwytrwalszego. - ... Kursant Awchadiejew.

- Tak jest, dowódco.

- Zadanie jest jasne?

- Tak jest. Osłaniać wasze plecy.

- Tak. I... postaraj się bez strat, Garik. Tu jesteście w idealnej pozycji...

Pozycja była, jak się patrzy. Najważniejsze, że nie było gdzie się wycofać.

Awchadiejew miał na imię Garri. Garri Mamiedowicz.

Wydawało mi się, że pełzną całą wieczność. Rura była szorstka, ale wysmarowana jakimś świństwem w rodzaju towotu czy solidolu - łokcie mi się ślizgały. Jeśli przyjąć, że przy każdym ruchu (jak to określić - kwant pełzania?) posuwałem się do przodu o jakieś dwadzieścia centymetrów, to długość rury wynosiła sto sześćdziesiąt metrów. Ale linka przymocowana do mojej nogi miała sto metrów i nie wybrałem jej do końca.

Dwukrotnie musiałem przepiłowywać kraty - chwała Bogu, rzadkie, z dwu skrzyżowanych prętów. Wydawało mi się już, że rura nie ma końca i że zdechnę w niej, nie osiągnąwszy wylotu. Ale jednak doczołgałem się. Najpierw poczułem woń: ostrą, kłującą w nozdrza. Nałożyłem okulary ochronne, nałożyłem respirator. Potem zaczęły docierać do mnie dźwięki. Potem powiało chłodem. W końcu, pojawiło się światło.

Rok 1961. Zbych

31 sierpnia. Godzina 20.45 Baza "Sajan". Silos raketowy

Nie od razu dotarło do mnie, co widzę; pewnie całą minutę, co najmniej, tylko tępo gapiłem się na rozpościerający się przede mną widok. Przed oczyma miałem zielonego koloru oszronioną metalową ścianę pokrytą wersami punktowych szwów spawalniczych, w ścianie ziały luki, do luków prowadziły różnokolorowe węże, podrygujące z powodu wewnętrznej pulsacji. Wisiały tu całe grona przewodów. W prześwicie między końcem rury, z której wysuwałem się bardzo, ale to bardzo ostrożnie, a zieloną ścianą - niezbyt szeroki ten prześwit, ręką nie sięgnąłbym ściany - z lewej świeciło szalenie białe światło. Para z oddechu płonęła w tym świetle... Leżałem i patrzyłem, usiłując pojąć, co właściwie widzę takiego dziwnego i co mam dalej robić. W końcu dotarło do mnie: to rakietą, ale nie leżącą w korycie transportera, jak należało, tylko stojącą pionowo, w pozycji gotowości do startu. Uświadomiłem sobie to i niespodziewanie uspokoiłem się.

Z tyłu ktoś dotknął mojego obcasa. Kapitan. Znakomicie.

Wysunąłem się do ramion i rozejrzałem. Od rury w dół prowadził szereg metalowych skobli, osłoniętych siatką asekurującą. Dokładnie taka sama drabinka prowadziła do góry. Przekręciłem się na plecy, chwyciłem skobel nad rurą - był zimny jak ramię truposza - i ostrożnie wysunąłem ciało na zewnątrz. Odczepiłem od nogi linkę, przesunąłem kaburę z pleców na brzuch. Sprawdziłem, jak wychodzą z pochew noże. Torbę z peemem, granatami i nabojami zostawiłem na razie w rurze: kapitan spuści.

Skobli było dwadzieścia cztery. Kończyły się jakieś dwa metry nad podłogą. Zawisłem na ostatnim, czubkami butów udało mi się sięgnąć betonu.

Teraz mogłem się rozejrzeć.

Rakietą nie stała na podłodze, tylko na masywnym trójnogu, pomalowanym na czerwono. Dolne krawędzie jej dysz, czarnych z zewnątrz i złocistych wewnątrz, znajdowały się na poziomie moich barków. Pod dyszami znajdowała się krata, zakrywająca szeroki otwór w podłodze. Wyglądało, że to, co nazywałem "podłogą" było tylko jakimś niezbyt szerokim występem, okrągłym balkonem nad nie wiadomo jaką otchłanią...

Ze śluz w tę otchłań wolno sączyła się, kłębiąc, ruda para. Obrośnięta grubym szronem rura biegła stamtąd, z otchłani i prowadziła do góry. Światło reflektora nie pozwalało dojrzeć, jak i gdzie łączyła się z rakietą. Bez wątplenia nie było tu nikogo z ludzi, poza nami.

Niby nie hałasowało tu nic, ale nie usłyszałem, jak podszedł do mnie kapitan. I musieliśmy w rozmowie niemal krzyknąć do siebie. Z powodu respiratorów rozmowa brzmiała gęgawo. Oddech owocował gęstą parą. Musiało tu być jakieś dziesięć poniżej zera. Bez wiatru.

- No i co nieco znalazło się na właściwym miejscu - powiedział kapitan. - Tajne stanowisko startowe. Bezpośrednio spod ziemi. Sprytne, trzeba przyznać...

- Wysadzimy? - zapytałem.

- Sądząc z przewodów jeszcze nie jest zatankowana - powiedział kapitan. - Sądzę, że gdzieś obok musi być taka druga. Ta może się okazać być w większej gotowości. W sumie to proponowałbym nic nie wysadzać, a przejąć stanowisko dowodzenia. Jak się pan na to zapatruje?

- Gdyby nas tu było ze dwudziestu...

- Aleksander Wasiljewicz Suworow jak nauczał?

- Słusznie nauczał. Pamiętam: po łaźni wolno nawet ukraść, byle na wypitkę starczyło!

Kapitan prychnął. Dołączył do nas Porotow. Miał na twarzy tylko respirator, nie miał okularów. Podał nam nasze torby.

- To wszyscy, Wasia?

- Wszyscy. Kostia próbował, ale od razu ugrzązł. Wywlekli go za portki.

- Proszę nałożyć okulary, kursancie - powiedział kapitan.

- Może jednak zaminujemy ją, tak na wszelki wypadek - zaproponowałem. - Nigdy nic nie wiadomo.

- Słusznie. Działajcie, chorąży.

Porotow popatrzył na mnie, znacząco pokiwał głową i puścił oko. Wyjął z kieszeni okulary ochronne i nałożył na nos. Teraz byliśmy nie do odróżnienia.

Wlazałem pod raketę. Tu trudno było oddychać, nawet w respiratorze. Szybko, jak tylko się dało, wprasowałem dziesięć brykietów "MC" w jakąś niszę obok silników, a potem w tę plastelinę wduśniętą przeciwpiechotną minę "Gwozd". Zdjąłem pokrywę i wolniuteńko wypełziłem spod rakiety. "Gwozdik" to mina słaba, raniąca. Nigdy się ich nie wyciąga, bo są cholernie czułe. Ta ich zaleta szybko przechodzi w wadę: detonują nawet przy słabiutkim wstrząsie, wywołanym, powiedzmy, przez przetaczający się w odległości dziesięciu metrów czołg. Kiedy ruszą silniki rakiety... albo jeśli ktoś przesadnie sumienny zajrzy tutaj.

Silniki oderwą się w cholere. Paliwo eksploduje. Nawet nie potrafiłem wyobrazić sobie, JAKA to będzie eksplozja. Bóg wie, czy są jakieś kanały odprowadzające płomień (pewnie są, ale prowadzą tylko do tej samej sztolni niżej), ale i w rurę, którą przepędziliśmy, też dmuchnie jak należy.

Wybaczcie, chłopaki...

Kapitan podał mi pistolet. Powiesiłem go na szyi i zacząłem zapinać pas. To taki napierśnik na szelkach z szeroką płytą stalową, w zamiśle twórców chroniącą serce, z kieszeniami na magazynki i zaczepami na granaty.

Właśnie skończyłem to robić, gdy w ścianie silosu - właściwie w żelaznych wrotach dzielących go od jakichś innych pomieszczeń (w końcu jakoś wciągali tu i ustawiali raketę... nawet jeśli w częściach) otworzyły się małe owalne drzwi z kremalierą i do silosu weszły dwie osoby w ciemnoszarych kombinezonach i pegazach niemieckiego modelu. Przez trzy czy cztery sekundy nie zauważali nas...

Potyczka była krótka. Porotow pocierał stłuczony przegub. Jeden z "szarych" był martwy (jak głupi chwycił za pistolet), a drugi jeszcze nie oprzytomniał.

- Czy mnie się wydaje, czy zrobiło się ciszej? - zapytał kapitan.

Chyba miał rację. Wszystko jeszcze huczało, ale nie tak wielogłosym chórem jak przed chwilą.

- Tankowanie zakończone - podzielił się domysłem Wasia. - Ci chłopcy przyszli tu odłączyć węże.

- Obawiam się, że nie potrafimy ich zastąpić w tej szlachetnej sprawie - powiedziałem. - Nie za mocno mu przyłożyłeś?

- Jak się dało, tak przyłożyłem - skromnie odpowiedział Wasia. W młodości był bardzo znanym bokserem-muchą, przymierzał się do zawodowstwa, występował w nielegalnych walkach z zakładami - ale pewnego razu został podstępnie upity i ocknął się z połamanymi nadgarstkami. Z rozpaczy został prowizorem, rodzinny interes.

- Trzeba by stąd wyrwać - powiedział kapitan. - I czy nie powinniśmy się przebrać?

- Tam jest ciemno - powiedziałem. - A bez światła i tak nie widać - zielony mundur czy szary.

- Może...

Otworzył drzwi, wyjrzał przez nie. Wykonał zapraszający ruch ręką. Westchnąłem, przerzuciłem "języka" (na razie zupełnie nieprzydatnego) przez ramię i pomaszero wałem za nim. Wasia osłaniał.

Przekroczyliśmy jedną bramę, po dziesięciu krokach - drugą. Śluza, wysoka i szeroka. Dźwig suwnicowy pod sufitem. Teraz już mieliśmy pojęcie, jak się ustawia w silosie rakiety. Poza tym pusta rakietka nie waży znowu tak dużo.

Za drugą bramą znajdował się... powiedziałbym: hangar. Gdyby odpuścić trybuny, to boisko piłkarskie śmiało by się tu zmieściło. Może tylko przeszkadzałby szereg kolumn na środku.

Cztery transportery gąsienicowe "Herkules" stały w dwu szeregach przodem do wyjścia. Rakiety z prowadzącymi do nich spod ziemi przewodami jakoś tak poważnie leżały w korytach. Miarowe dudnienie pomp rozbrzmiewało tu cicho, aksamitnie. Stożki światła opierały się czubkami o wysokie sklepienie. Biaława mgła otulała rakiety, wolno spływała na ziemię.

I - pusto.

Staliśmy i patrzyliśmy na to wszystko. Kadr z filmu. To nie dzieje się z nami.

To się nie zdarza.

"Język" poruszył się i jęknął. Potem zwymiotował do p-gaza. Cisnąłem go na ziemię i zerwałem maskę. Bez ceregieli.

Tak, Zbyszku. Zupełnie straciłeś czucie. Nosileś na rękach i nic nie skapowałeś. Otumaniała cię ta wojna. Kobieta.

- Kapitanie - zawołałem.

Zastanawiał się chwilę.

- Knebel. I naprzód. W każdym wariacie, tylko do przodu. A oczy zostawić z tyłu głowy...

Na pierwsze ciało natknęliśmy się przy wejściu do tunelu. Leżało w cieniu, zauważyłem je kątem oka. W ogóle mam niezły wzrok w ciemnościach, a dziś, pewnie ze strachu włączyły się wszystkie rezerwy.

- Tutaj!

Mężczyzna około trzydziestki. Też w znanym nam już kombinezonie. Oczy potwornie szeroko otwarte. Zabity ciosem sztyletu pod łopatkę. Sądząc po cięciu - bardzo szerokie dwustronne ostrze. Przyłożyłem swój nóż. Nie, tamten był zupełnie inny.

- No tak... - Kapitan pochylił się nad zmarłym i natychmiast wyprostował się. - Coraz dziwniejsze to wszystko.

- Tam też - powiedział Wasia.

Po drodze do bunkra natrafiliśmy na sześć trupów.

- To nie jest nóż - oświadczył nagle w marszu Wasia. - To włócznia. *Saantag*. Widziałem takie.

- Gdzież to?

- W Afryce. W służbie zasadniczej.

- Jak mogłeś zasadniczą odbywać w Afryce?

- Nie całą, oczywiście. Ale do Abisynii to nas wysłali.

- Nie gadać mi tam! - zarządził kapitan i Wasia natychmiast przestał siać tajnymi informacjami. Aż mu oczy zmętniały. Chociaż kapitan tylko wzywał nas do ciszy i wyważonej uwagi, znajdowaliśmy się już poza pewnym progiem, po przekroczeniu którego wszystko mogło być dziwnie interpretowane...

Ogromne podziemia były przez kogoś starannie wyludnione. Dziwne. Więcej niż dziwne.

Do bunkra prowadziła pancerna winda. Na okoliczność wyłączenia prądu winda została wyposażona w ręczną korbę. Wyobraziłem sobie, jak się trzeba będzie namachać, żeby wyciągnąć na światło dzienne taki ciężar...

Bunkier przypominał rzeźnię. Nie dało się nawet od razu policzyć ciał. Sieczka. Ktoś walił do oporu z czegoś szybkostrzelnego. Może z czeskiego *brabeca*. Na wiosnę demonstrowano nam to чудо. Kaliber sześć trzydzieści pięć, obrotowe lufy, naboje w taśmie. Pięćdziesiąt wystrzałów na sekundę.

Pamiętam, że naiwnie pomyślałem wtedy: po co aż tyle?

- Tego znam - powiedział kapitan. Głos (z dziwną intonacją; pomyślałem nagle, że panowanie nad sobą sporo kosztuje kapitana) rozlegał się jakby z daleka. - Jeśli się nie mylę, to były podpułkownik Rosyjskiego Korpusu Terytorialnego Jurij Dawidowicz Meretin alias Augustin alias Topol. Legendarna postać. Khama, Shoshong... Rozkwit kariery - II wojna burska, pięćdziesiąty siódmy rok. Klasyk roboty dywersyjnej. Analizowałem jego działania w akademii, tak więc - jestem zaszczycony, bardzo zaszczycony...

Zwaliłem swoje brzemień w kąt i usiadłem sam. Pośpiesznie nałożyłem respirator. Ale - tak mi się wydawało

- przez filtry również przesączał się niemożliwy do pomylenia z czym innym zapach.

- Chyba dochodzi do siebie - powiedział Wasia.

* * *

- Nie interesuje mnie, kim jesteście, ilu was jest i jakie są wasze cele - powiedział kapitan. - Po prostu proszę sobie wyobrazić, że przegraliście. Rakiety są zaminowane. Jeden niezręczny ruch i wszystko wyleci w powietrze. Moi ludzie kontrolują sytuację. Reprezentuję tu kontrwywiad okręgu i gotów jestem zaręczyć, że zostanieie dostarczeni cali i zdrowi tam, dokąd sobie zażyczycie. Nawet na Kajmany. Rozumie mnie pani? Jeśli tak, proszę skinąć głową.

Kiwnięcie. W oczach jednakże, tylko nienawiść.

- Proszę wyjąć knebel, chorąży.

Rozwiązuję tasemki, wyciągam piłeczkę. Głośne "czpok", jak przy otwarciu butelki.

- Boże - chrypi kobieta. - Boże, Boże... Jak się tu dostaliście? I... gdzie jest Trzmieł?

- Wasz towarzysz?

- Tak. Gdzie jest?

- Martwy.

- Wy... go zabiliście? Wy? Boże, co to... przecież wy nie jesteście warci jego jednego paznokcia! Coście narobili, gnoje! Teraz wszystko przepadło, teraz to już naprawdę wszystko przepadło...

- Bez hysterii! - I szybko: - Kim jesteście? Skąd? Gepo? Kuroi-tebukuro? CIA?

- Co? A... Nie. To nieważne. Poczekajcie... pomóżcie mi wstać.

- Nie, lady. Będzie pani musiała wstawać sama. Nie zamierzam dawać ci szansy. Jeśli to wy załatwiliście tamtych, w korytarzu...

- Tak, ja! I tych bydlaków też! Ja i Trzmieł! Już wszystko było gotowe, wszystko zrobione i nagle znikąd, z pustki wyłażą trzy debile...

- Proszę nie łąć. Nie widzieliśmy u was tej broni. Gdzie jest ten trzeci? I pytam kolejny raz: kim jesteście?

- Nie mogę tego wyjaśnić szybko, a na szczegóły nie mamy czasu. Dobra... - podniosła się ciężko. Lewa strona jej twarzy była zaczerwieniona i spuchnięta, na oko już nie widziała. Waśka ma dobrze ustawioną rękę... - Nie ma tu nikogo trzeciego. Po prostu nie ma tu już żywych. Dlatego Trzmieł porzucił halabardę. Żeby mu nie przeszkadzała. A w *brabecu* skończyła się amunicja... Głupia jestem, trzeba było przewidzieć, że jacyś frajerzy przesączą się przez szczeliny. Nie pomyślałam o tym. Koniec... - Pochyliła się nad pulpitem, kapitan dał mi znak: nie przeszkadzaj. - Nic z tego nie wyjdzie. Topol uruchomił program. Do pierwszego startu mamy trzydzieści cztery minuty, do drugiego - godzina dwadzieścia. Chciałabym wiedzieć, skąd wziął kody...

- To akurat możemy wyjaśnić - powiedział kapitan. - Ale potrzebujemy kodów odwołania.

- Wielu rzeczy potrzebujemy...

- Zna je pani?

- Skąd? Skąd, do kurwy nędzy, mogę znać? Nikt nie raczył mi ich podać...

- Zbyszku Ryszardowiczu - przerwał jej kapitan. - Proszę spróbować coś zrobić.

Od dłuższej chwili myślałam na całego. Mózgi wojskowych cybernetyków wyszły spod jednej sztancy, nieważne, jak się nazywa to, na czym pracują: arytmometr, komputer, *rico-na hako* czy "palacz" (który tak naprawdę jest "obliczeniowo-automatycznym uniwersalnym wspomagającym urządzeniem"; skrót brzmi jak "palacz" i pisze się to niemal tak samo: *RAUHER*). Z wojskowymi obliczeniowymi maszynami mam do czynienia stale, nie mogę powiedzieć, żebym przynajmniej raz odczuwał z tego powodu przyjemność. Tępe i uparte w swych działaniach maszyny, tak samo tępe i uparte programy... Czego, nawiasem mówiąc, nie da się powiedzieć o autorach tych programów. Bądźmy sprawiedliwi.

Dobra. Wyrzucam wszystko z głowy. Nie ma nic i nikogo.

Sama maszyna, należy przypuszczać, jest aktualnie dla nas niedostępna. Albo jest pod podłogą, albo za ścianą, za pancernymi drzwiami, a nawet jeśli i jest pod pulpitem (słyszałem, że są takie małe) - niebezpiecznie jest jej dotykać. Z bardzo oczywistych powodów. Jeśli uszkodzi się główną maszynę czy przerwie jej łączność z raketami, to te przechodzą do trybu autonomicznego. Nie miałem pojęcia, jaki właściwie jest ten ich program, ale całkiem możliwe, że dość paranoidalny. Łącznie z samounicestwieniem. Dlatego zapomnijmy w tej chwili o maszynie. Przed nami jest pulpit. Dziewięćdziesiąt sześć klawiszy. Amerykański standard. Na naszych jest ich sto dziewięć. Wyraźne przegięcie. Zielony ekran, po którym pomykają dwa szeregi białych liczb. Z pulpitu wydawane są rozkazy do małych i jeszcze tępszych arytmometrów rakiet.

Kody wprowadza się magnetycznie - po prostu poprzez wciśnięcie klawiszy. Inny sposób - karty perforowane. To dopiero byłyby jaja...

Myśl, małpiszonie.

Topol - terrorysta - znał kody startowe. Z zasady znać je powinien tylko prezydent. I szef sztabu. Nawet nasz znajomy dowódca bazy nie powinien ich znać. W rzeczywistości, oczywiście, zna je kilkadziesiąt osób - najprzeróżniejsi technicy, programiści, kryptografowie...

Nie o tym myślisz.

Tak. To kody startowe. Kody startowe są całkowicie tajne. Ale kody odwołania powinni znać również w bazie. To oczywiste. I ten pieprzony generał - na pewno je zna...

- Panie kapitanie! A nie możemy zadzwonić do amerykańskiego prezydenta i po prostu zapytać go o kody odwołania startu?

- Z-zar-raza... a zrozumie on mój angielski?

- Mogę przełożyć.

- No to dzwoń sam - powiedział kapitan z niezrozumiałą ulgą.

Czerwona słuchawka w gnieździe. Sądząc z wagi i chłodu - metal. Żadnych przycisków - sygnał w słuchawce powinien odezwać się natychmiast. Gorąca linia.

Cisza.

- Łączności brak - powiedziała nasza branka. - Topol kazał przerwać przewód.

- Przerwać? Kiedy?

- Wcześniej rano. Niemal od razu.

- A z kim w takim razie? - kapitan zamilkł. Wszystko i tak było jasne - z kim. Z cichym wielbicielem... -

A w ogóle jakakolwiek łączność ze światem zewnętrznym istnieje? Radio?

- Sądzę, że nie. Topol był... trochę szalony... Wydawało mu się, że przez telefon czy radio można wydać taki rozkaz... że człowiek nie jest w stanie mu się oprzeć. Zawsze niszczył wszystkie środki łączności.

- Która rakietą startuje jako pierwsza? - zapytał kapitan. - Ta, do której szliście? Gdzie was schwytaliśmy?

- Tak.

- Cóż... Nawet jeśli nic się nie stanie, to wybuchnie, kiedy ruszą silniki. Amerykanie raczej nie są takimi idiotami, żeby nie zagwarantowali ochrony głowicy przy starcie awaryjnym... - To mówię przede wszystkim, żeby uspokoić samego siebie. Żeby przestały drżeć ręce. Chociaż, co mi za różnica - spłonąć w atomowym płomieniu czy pochodze z nafty? Czy jak tam się nazywa to świństwo w zbiornikach?

Naprawdę, żadna różnica...

Koniec, wyłączam się.

Myśl, małpo, myśl...

Dwadzieścia pięć minut.

- Na co liczyliście? - zapytał kapitan jakby z daleka.

- Trzmiel zamierzał otworzyć komputer i przeprogramować go. Wiedział, jak się to robi.

Nie ma na to czasu, pomyślałem. Najprawdopodobniej na nic nie ma już czasu. Nawet żeby zwiać...

Miejmy nadzieję, że tylko eksploduje paliwo.

Chłopaki spłoną, ci w sztolni. W komorze.

I my, bardzo prawdopodobne, też spłoniemy.

Zapomnieć o tym. Raz... Dwa... Zapomniałem.

Hasła odwołania. To musi być coś prostego.

To musi być coś jak gaśnica. Rozumiecie? Na wypadek zupełnie przypadkowego trafu. Żeby łatwo było odwołać - odwrócić, wdusić trzpień...

Dwadzieścia cztery.

"Powiedz hasło? - Hasło. - Przechodzić..."

Stary dowcip.

Coś bardzo prostego. Co wszyscy znają. Czego nie można zapomnieć. W pośpiechu, w niebezpieczeństwie.

Coś, co jest na wyciągnięcie dłoni...

Washington. Lincoln. Eisenhower.

Nie. To agresja. Atak.

Symbol powściągliwości?

Jakiś indiański wódz? Och, nie znam ich. Raczej nie.

Myśl, małpo.

Myśl.

Odwołanie. Symbol odwołania. No? Jakiś najprostszy.

Stop. Oto jest - tuż-tuż. Czuję...

Powiedzmy, z historii: czterdziesty pierwszy. "*Niitaka-jama agate e kudasai*" - I zaraz: "*Hana ga saku, hana ga saku...*" - i eskadra admirała Nagumo skręca na zachód, do domu, bombowce zrzucają bomby do

morza i na ostatnich kroplach benzyny lądują na pokładzie lotników...

Nie. Mało znany epizod wojny, która nie miała miejsca.

Zaraz... Przebłysk.

Jest! Czterdziesty szósty. Ostatnia próba Niemiec przesunięcia się na wschód - i wyraźna ochota Syberii (z Ameryką za plecami) na walkę ze starym wrogiem. Do tej chwili trwają spory: a co by się stało, gdyby? Siły stron były mniej więcej równe, czołgi na rubieżach do ataku, bombowce na zmianę pełniące wartość w powietrzu, sześćset B-29 przelatuje na Syberię i lokuje się na lotniskach, amerykańska i kanadyjska piechota wyładowuje się we Władywostoku...

"Słowo Twiordo" - sygnał odwołania wszystkich wojennych przygotowań. Dwa tygodnie straszliwego balansowania na granicy zetknięcia, dwa tygodnie przerwy w przetrzucie amerykańskich jednostek na Syberię - generałowie siwieli, ktoś się nawet zastrzelił, żeby skrócić męczarnie... Dwa tygodnie nieludzkiego opanowania... i tajny przylot Goeringa do Tomka, szybkie pertraktacje...

Dwadzieścia dwie minuty.

Dobra.

"Wprowadzenie".

"Czy znasz hasło?"

"Tak".

"Wprowadź hasło".

Ręce się trzęsą.

"Słowo Twiordo" - piszę rosyjskie hasło łacińskimi literami. "SLOVO TVIORDO"

"Hasło przyjęte".

Zespołowy jęk radości za plecami.

"Odwołać program aktywacji zapalników głowic bojowych?"

"Tak".

"Program aktywacji zapłonów głowic bojowych odwołany. Odwołać program startu?"

"Tak".

"W celu odwołania programu startu wprowadź specjalne dodatkowe hasło".

No tak... Już wiedziałem: *finita*. Kończy się powietrze. Dałem z siebie wszystko, co mogłem. Mózg wycisnięty. Sucha substancja.

Rozkaz startowy opuści trzewia maszyny. Od razu walnie moja mina i dziesiątki ton ciekłego ognia zaleją podziemia. A potem - kolejne sto ton...

Ocalejemy. Raczej tak. Bunkier powinien być obliczony na pożar. Ale...

Rozejrzałem się. Jakbym chciał coś zobaczyć. Ale zapomniałem, co.

Mapa na ścianie. Plan bazy: silosy, lotnisko, miasteczko...

- Kapitanie... Owidiuszu Andriejewiczu...

- Co? - błąd jest.

- Proszę tu popatrzeć. Tunel - widzi pan? Prowadzi od silosów do administracyjnego ośrodka miasteczka.

Kiedy rakiety hukną, cały płomień pójdzie tam. Musimy zamknąć tę bramę. I, jeśli zdążycie, tę.

Nieźnośnie długo wpatruje się w plan.

- Jasne. Dobra... A pan będzie próbował? - skinienie w stronę pulpitu.

- Myślę, że to ma sens.

- No to... powodzenia.

- Do diabła! - Żeby nie zapeszyć.

- Jestem panem zachwycony. Da Bóg... Kursancie, za mną.

Gładko, oliwiście zamykają się ciężkie drzwi. Zabuczała, wznosząc się, winda.

Zostaliśmy we dwoje z... jeńcem? Jaki tam z niej jeńiec...

Zapomnieć.

"Hana ga saku".

"Hasło odrzucone. Wprowadź właściwe hasło".

Och, do licha... Odchylam się w krzesło. Aż słyszę, jak trzeszczy mi mózg. Muszę wam powiedzieć, że to boli.

Odwołanie... odwołanie startu rakiet... Stoją niczym palisada, a ogniomistrzowie z długimi pochodniami w rękę czekają na rozkaz. "Gotuj się... pal!" Ale w ostatniej chwili: "Odwołuję pal!"

Nie, to zbyt prymitywne.

Chociaż... Wprowadzam: "Odwołać".

"Hasło odrzucone. Wprowadź właściwe hasło".

Spróbujmy. Wprowadzam: "Właściwe hasło".

"Hasło odrzucone. Wprowadź..."

- Nie chce się pani rozerwać? Ja straciłem natchnienie.

Wstaję z krzesła. Ona patrzy na mnie, albo nie rozumiejąc, albo rozumiejąc niewłaściwie. Więc żeby to pokonać - wskazuję krzeselko.

- Ach, o to panu chodzi... - Kiwa głową. Ma krótko obcięte włosy, jasnokasztanowe włosy. Ten kolor ma jakąś swoją nazwę, ale zapomniałem ją. - Raczej nie będzie ze mnie pożytku. Trzymaj tak, ten by...

- Ponieważ nie mamy papieru herbowego piszmy na pipifaksie. Proszę spróbować, niczym już nie ryzykujemy. Jestem pusty, jak sterowiec - i serwuję uśmiech.

Patrzy na mnie dziwnie, sam zresztą też czuję się dziwnie. Mam jakieś znoszenie na bok, chwytam się za pulpit, jakoś utrzymuję ciało na nogach. Ciało jak z korka.

- Proszę sobie poszaleć - proponuję. Głos obcy i dochodzi nie wiadomo skąd.

Siada.

"Pacyfik".

"Hasło odrzucone. Wprowadź właściwe hasło".

W kąci ekranu pojawia się liczba 1000. i natychmiast zmienia się - 999... 998...

Szesnaście minut.

"Słowo Twardo".

Zuch. Ja nie wpadłem, że może być powtórka.

Nie. "Hasło odrzucone..."

Coś biblijnego. Przecież to Amerykanie...

Ogląda się na mnie. Powiedziałem to na głos? Nie zauważyłem...

"Abraham"

"Hasło odrzuco..."

"Izaak"

"Hasło..."

"Dziesięciu sprawiedliwych".

"Hasło odrzucone. Wprowadź właściwe hasło. Zostały trzy próby".

919... 918...

Módl się za króla Salomona i całą mądrość jego, módl się za króla Dawida i całą jego łagodność...

Wierszyki z amerykańskich wypisów szkolnych. Każdy musi je znać. Kto tam jeszcze był? Brat Lis?

Nikogo więcej nie pamiętam.

- Ja... nie mogę.

Cisza przygniata.

Ja też nie mogę. Trzy podejścia. 700... 699...

Odwołał. Powstrzymał. Wsławił się tym. Kto taki?

Mógł, ale nie dał rady - Poncjusz Piłat.

"Poncjusz Piłat" - pojawia się na ekranie. Czyta w myślach? Może, w takim napięciu?

"Hasło odrzucone..."

Co się tak zapętliliśmy na Biblii... Co jeszcze może być? Dziecinne wierszyki (których nie znamy), wers z hymnu narodowego, postać historyczna... Bohater dowcipów... filmów...

Stop. Pierwszym hasłem był sygnał, który nie dopuścił do powtórzenia wojny światowej. Symbol. Ale byli też konkretni ludzie, którzy wysłali i odebrali ten sygnał. Goering, Salnikow, Tagwell, Todzyo...

Dwa podejścia, tak?

- Spróbuj "Tagwell" - szepczę. Nie słyszy mnie. Zdejmuję maskę i powtarzam. Straszliwy smród. Surowe mięso, krew, wydzieliny...

Wstukuje... Patrzę na ekran: 110... 109... 108...

"Hasło przyjęte".

Cyfry przestają migotać. Zamierają: 101.

"Odwołać program startowy?"

Patrzy na mnie i jej oczy...

- Proszę po prostu wpisać "tak". Na razie powstrzymajmy się od uścisków...

"Tak".

"Program startowy odwołany. Czy rozpocząć spuszczenie paliwa?"

Nie zdążyłem pomyśleć. A pomyślawszy, nie zdążyłem krzyknąć.

"Tak".

Rozkaz leci do dodatkowych organów systemu. Gdzieś trzysta metrów od nas za warstwami gruntu i betonu zaczynają się przełączać styki, zatrzymują się jedne pompy, włączają inne i oto zaraz...

Lady w szarym wolno podnosi się z krzesła. Chyba wszystko zrozumiała, ale za późno.

Tak, daleko stąd - zadziały kłapy wysokiego ciśnienia. Struga azotu wali w łopatki turbiny. Awaryjne usuwanie paliwa wykonuje ta sama pompa, która karmi silnik. Turbina nabiera prędkości i oto częstotliwość jej obrotów na krótko wpada w rezonans z korpusem. Wibracja, drżenie...

Nie dochodzi do nas odgłos eksplozji, ale podłoga przekazuje odległy wybuch. Jakaś koszmarna pauza.

Wczepiamy się w siebie. I - spłaszcza nas szalony ryk, walący zewsząd. Kiedyś mnie, gówniarza, koledzy nieco starsi, wsadzili do metalowej beczki i zaczęli w dziesięcioro rąk walić w nią deskami i kawałkami rur. Zabawa taka...

I teraz, jakby ktoś naigrywał się z nas, potrząsając nami w pudełeczku z pięcioma czy sześcioma rozszarpanymi na kawałki nieboszczykami...

Nie wiem, jak długo to trwało. Zgasło światło i zapaliło się ponownie, inne, żółte. Coś migotało na ścianach, na pulpitach...

Uderzenie, i jeszcze jedno, i jeszcze... A potem... Potem dopiero walnęło tak naprawdę.

Rok 1961. Zbych

1 września. Około 3-ej nad ranem. Baza "Sajan". Punkt dowodzenia

Wszystko to miało mało sensu, ale nie wiadomo dlaczego - pomogło. Nie pamiętam, kto zainicjował sprzątanie - pewnie oboje. Ze strachu.

Wepchnęliśmy ciała do ściennej szafy, wyjąwszy stamtąd jakieś pudełka i wyłamawszy półki z krat. Szafa zamykała się szczelnie, chociaż raczej nie hermetycznie. Wytarliśmy prześcieradłami z prycz krew, mózgi i inne takie. Wszystko to wylądowało też w szafie. Z powodu upału wiele rzeczy zaschło - szczególnie to, co było na ścianach. Do zapachu albo przywykłem, albo naprawdę dobrze działały filtry, w każdym razie można było spokojnie oddychać. Zwłaszcza nie w dyspozytorni, gdzie miała miejsce masakra, a w malutkim pokoiku na cztery prycze, przylegającym do dyspozytorni. Jeśli przyrzady nie kłamały, to mieliśmy tu 160o Fahrenheita. Jeśli wierzyć danym, to w zapasie mieliśmy dwie tony wody. Ale z kranu nie ciekła. W lodówce, o dziwo, czynnej, mieliśmy dwa kartony piwa: czterdzieści osiem puszek. To był nasz bieżący zapas płynu. Jeśli będziemy wypijali po puszcze na godzinę... za dobę zaczniesz się pragnienie. Jeśli nie będziemy pili, zabije nas szok termiczny. I to wcześniej niż za dobę.

Zmieniłem swój jegierski wyszmelcowany mundur na amerykańską piżamę. Prawdziwą, taką do spania, tyle że z identyfikatorem na piersi: "Leutnant D. Becker". Pewnie jeden z tych, co mieli tu dyżurować ubiegłej nocy.

Moja towarzyszka też się przebrała. Teraz był z niej "kapitan K. Brilski".

Nie dało się po prostu leżeć. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i pociliśmy się.

- Teraz, gdybym był uczciwym człowiekiem, powinienem się pani podporządkować - powiedziałem.

Przyglądała mi się długo, jakby usiłowała zajrzeć za skraj mojego płaskiego jak starożytna Ziemia, dowcipu.

- Wie pan co - powiedziała - to wcale nie jest takie głupie. A tak nawiasem mówiąc, to jak się pan nazywa, herosie?

- Zbych.

- O-o? A zresztą, nie takich tu się spotyka... Ja jestem Helga.

- "Helga, Helga, niosło się nad polami..." A kim pani jest, kochana Helgo? Kapitanowi nie chciała pani odpowiedzieć, pod pretekstem braku czasu. Ale teraz mamy czasu od gromu. Póki nie skończy się piwo. Albo póki wszystko nie ostygnie.

Do pancernych drzwi nie można było się dotknąć. Ślina na nich syczała. Wyobrażałem sobie, co się działo za drzwiami, tam dalej...

Dość długo milczała.

- Rzeczywiście chce pan wiedzieć? Po co?

- Lubię mieć jasność.

- Hm... Jak pan sądzi - wyciągną nas stąd?

- Dziewięćdziesiąt na sto, że nie. Na górze, najprawdopodobniej, nie mają do nas głowy. Nawet jeśli kapitan z Wasią wydostali się stąd, to nieprędko zabrają się za ratowanie nas. A jeśli nie wydostali się, to w ogóle nikt sobie nie przypomni o tym cholernym bunkrze.

- Proszę nie obrażać bunkra. Jakby nie on, dawno zostałyby z nas kupki popiołu.

- A aktualnie tylko topimy się jak świeczki. Zastanawiam się, czy nie lepiej by było przykryć się kocami? Termoizolacja, jak by nie patrzeć.

- Spróbujmy.

Przerwa w rozmowie. Włazę pod koc. Długo wsłuchuję się w odczucia.

- No więc, wracając do problemu...

- Uparty pan jest.

- Raczej uporczywy. Nawiasem mówiąc, pod kocem jest chłodniej. A jak jest chłodniej, to łatwiej się żyje.

- Dobra. Ale i tak mi pan nie uwierzy. A jeśli nawet tak, to będzie jeszcze gorzej.

- Tak? Czyli jest to coś niezwykłego. Proszę mówić, a ja będę słuchał. Wcale nie śpię.

- Po prostu myślę, od czego zacząć. Wierzy pan w los, w przeznaczenie?

- Raczej tak niż nie. Chociaż z losem mam na pieńku.

- To widać gołym okiem. A pseudonauka pana nie interesuje?

- Dlaczego akurat pseudo?

- Żartuję. Ale mimo wszystko: czy nie zwracał pan uwagi na dziwne charakterystyczne zdarzenia, mające miejsce w przeszłości?

- A jakie są te charakterystyczne?

- No... chodzi mi o to, że różne historyczne wydarzenia powtarzają się. Zmieniają się miejsca występowania, imiona postaci...

- Chodzi o to, że historia się powtarza?

- Tak. Ale nie w takim znaczeniu, jakie zazwyczaj nadaje się tym słowom. Dlatego że tak naprawdę funkcjonuje niewielki zestaw schematów - może z piętnaście - opisujących wszystkie praktycznie wydarzenia.

- Pewnie dlatego, że... ci... e-e... naoczni świadkowie - oni wszystko odbierają w ramach gotowych fabuł. Że tak powiem, pośpieszna legendaryzacja...

Pomyślałem nagle, że nasz przypadek jakoś wyłamuje się z normalnych legend i przechodzi gdzieś w sferę wysokiego absurdu. Kafka. Albo Michael Mason. On też ma takie: podwodna łódź zatonała, nikt nie wypływa, ale załoga żyje i zajmuje się kompletnie nie marynarskimi dysputami... skądś się biorą jakieś baby... spiski, rewolucje... Dobra była ta sztuka, wystawił ją chabarowski teatr dramatyczny w okresie swojego krótkiego, ale burzliwego rozkwitu.

Wyjście na ten spektakl zaowocowało znajomością z Conchitą.

Pomyślałem o niej z dystansem, bez poprzedniego kołowrotowego bicia serca. I po raz pierwszy w trakcie tej zwariowanej doby jakoś nawet przesadnie spokojnie powiedziałem sobie: mam niezłe rozwiązanie problemu... a przy okazji i emeryturę dla wdowy...

- To dobre objaśnienie...

Niemal nie słyszałem, nie słuchałem. Jakbym został przywalony przez wielką miękką poduszkę.

- ... podane przez pewnego człowieka, który, oczywiście, nie jest beztalenciem, ale - chałturszczykiem...

- I co z tego, szanowna pani?

- Wszystko. Niestety, wszystko, co się dzieje, wypływa właśnie z tego. Ja go nie besztam, nie nazywam chałturszczykiem, on jest w sytuacji bez wyjścia: musi pisać nowe historie, ale natchnienia brak, nie ma świeżych pomysłów, dlatego korzysta z klisz...

- Pan Bóg?

- Ale co też pan! Czyżby pan nie widział, że ten świat nie ma Boga? Nie, zwyczajny człowiek, z wystarczająco unikatowymi zdolnościami, ale jednak taki sam jak my, z krwi i kości.

- No to nie rozumiem.

- Do lich-cha... Nie rozumie pan, że po raz pierwszy usiłuję komuś wytłumaczyć, kim jestem i czym się zajmuję. Wie pan, kiedy nastąpi koniec świata?

- Obawiam się, że dla nas już nastąpił. A ja jestem wystarczającym solipsystą, by uważać...

- Nie-nie. Prawdziwy koniec świata.

- Co do tego istnieje wiele zdań i opinii.

- Istnieje też konkretna data: w nocy dwudziestego czwartego grudnia dwa tysiące dwunastego roku.

- Przyznaję, że tę datę słyszę po raz pierwszy. Jakoś dziwnie jest nieokrągła. Chyba że chodzi o Boże Narodzenie...

- Przypadkowy zbieg. Dokładna data urodzin Chrystusa nie jest znana. Gdzieś między połową listopada i początkiem lutego. Przy tym piątego roku przed Narodzeniem Chrystusa... Nie, to nie o datę chodzi. Ostatnie kretyńskie pytanie: czy można podróżować w czasie?
- Nie mam pojęcia. Czyżby to miało ze sobą jakiś związek?
- No więc tak: można. Co prawda jest to dość ryzykowne. Sposób został odkryty na początku przyszłego wieku przez dwu szwajcarskich uczonych, byli to kuzyni: Pierre Constantin i Pierre Manstein. Pośpiesznie i nieostrożnie postępując, opublikowali wyniki swoich badań i udostępniłi ludzkości sposób podróżowania.

Najprawdopodobniej zaczęła się maligna. Z przegrzania. No bo kto przy zdrowych zmysłach powie coś takiego: odkryli na początku przyszłego wieku? I kto, nie mrugnawszy nawet okiem, przełknie to i będzie słuchał dalej: o grupie ni to romantyków, ni to fanatyków, którzy runęli w odległą przeszłość w celu uchronienia południowoamerykańskiej cywilizacji przed podbojem Europejczyków? Sen to, mara...

... W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego grudnia dwa tysiące dwunastego roku stało się coś potwornego. Setki tysięcy, miliony - nikt tego nie policzył - pomalowanych w barwy wojenne, wspaniale uzbrojonych, zadziwiająco zręcznych i bezlitosnych wojowników, wtargnęło do miast, pojawiając się nie wiadomo skąd (schodzili z niebios, wychodzili spod ziemi - opowiadali nieliczni ocalali naoczni świadkowie) - i mordowali, mordowali, mordowali. To była rzeź całkowicie nie do opisanania, przekraczająca ramki najbardziej zwyrodniałej, ale jednak ludzkiej wyobraźni. Policyjne i wojskowe oddziały, rzucone do walki, zostały rozdarte na strzępy dosłownie w kilka godzin. A zresztą, nie tak znowu dużo było tych oddziałów... Dlaczego? A komu potrzebni są żołnierze w świecie, który prawie od stu lat nie zna wojny? A policja, z kolei, była właściwie tylko hołdem złożonym tradycji... Po kilku tygodniach dziewięć dziesiątych ludzkości przestało istnieć; pozostali ludzie, zapędzeni do lasów, pod ziemię, nadal byli eksterminowani okrutnie i to jeszcze bardziej niż wcześniej - jeśli można w ogóle takich porównań dokonywać. Rozpaczliwe próby oporu doprowadziły tylko do tego, że zwyczajne morderstwa zastępowane były mordami powolnymi i wyrafinowanymi. Ale kropla do kropli zaczęły napływać wiadomości o agresorach. Nie byli to przybysze z innych planet. To byli Majowie, którzy osiągnęli szczyty swojej nieludzkiej cywilizacji, którzy zasiedlili całą planetę i dawno już wyszli w przestrzeń kosmiczną. Jakież reguły rządzące naszym rozwojem czasu zły się, przestrzenie złączyły w coś bardziej złożonego, ale jednolitego. I w powstałej sytuacji silniejszy postanowił za wszelką cenę przeżyć, zachować swoją cywilizację. Szansa na to była, ich zdaniem, tylko jedna: całkowite oczyszczenie, sterylizacja terenu. Niewolników ani sąsiadów nie potrzebowali. Ludzkości nie pozostawiono żadnej drogi wycofania się. I stało się zupełnie normalne i zrozumiałe, że ci, co zdążyli dopaść nielicznych jeszcze "tempo", uciekali w przeszłość...

Jedni zabierali się do sprawy na łeb na szyję, w rozpaczy i w szale: szli z Cortezem i Carasco albo tępo mścić się, albo nawet wymazać całą pamięć o nieszczęsnych Majach, inni usiłowali ingerować w jeszcze wcześniejsze wydarzenia - niefachowo, brutalnie, samobójczo.

Ale w końcu liczni ci tempomigranci odnaleźli siebie, połączyli się - nie bez problemów i sporów - i zaczęli rozważać, co można w tej sytuacji zrobić.

Nikt nie miał doświadczenia w operacjach temporalnych, teoria też jeszcze nie istniała (wszyscy teoretycy zginęli), wszystko trzeba było robić na chybił trafił i uczyć się na własnych błędach...

Tak więc, wkrótce stało się jasne, że narzucające się oczywiste rozwiązanie i bezpośrednia ingerencja w przeszłość nie są możliwe: przeszłość (Meksyk, czwarty wiek naszej ery), przyjąwszy grupę przybyszów z przyszłości, przekształcał się w jakiś nadzwyczaj trwały chronotopyczny konglomerat; coś podobnego dzieje się z roztworem nasyconym, do którego wpada kryształek soli. Minęły dwa wieki i ów konglomerat został sekwestrowany i usunięty z ogólnego strumienia czasowego, tworząc odizolowaną realność, poruszającą się nie równoległe po osi czasu, a po skomplikowanej krzywej, opisywanej przez tak zwane "małe równanie Szalonego Kapelusznika". Nawiasem mówiąc, "Wielkie Równanie" też istniało. Zetknięcie przecięć linii światów - poprzedniej i nowoutworzonej - odbyło się akurat owej bożonarodzeniowej nocy. Tak więc ingerencje w utworzone realności okazały się niemożliwe: każda próba zmiany związku przyczynowo-skutkowego nawet trzeciego stopnia prowadziła do nieuchronnej zguby ingerującego jakoby z naturalnych przyczyn. Uderzenie pioruna, ukąszenie żmii... Natomiast ominięcie tej realności od strony przeszłości udało się bez problemów, ale nie przyniosło pożądanego skutku: po prostu tworzyła się jeszcze jedna nadzwyczaj trwała realność, w której amerykański kontynent był bezludny (o ile nie liczyć Aleutów i Eskimosów: zadżumione szczury nie docierały tak daleko na północ) aż do przybycia Europejczyków. Ta

realność również wyruszyła w samodzielny rejs i jej przecięcie z podstawową osią czasu przewidziane było na koniec trzeciego tysiąclecia. Jednakże zdecydowano, że na razie odłoży się rozwiązanie tego problemu...

Otulony cicho wymawianymi słowami, z jednej strony szybowałem nieważki, i leżałem pod ołowianym kłosem, przyciśnięty sztywnym kocem do twardej pryczy. Mieliśmy tu światło, ale ono przysłaniało tylko ciemność. W mroku natomiast działo się coś naprawdę ważnego.

W końcu ustalono jedno: klin należy wybić klinem. A nie igłą. Inna sprawa, że ciągnęły się długie, i nadal ciągną, dysputy w sprawie natury owego klina.

Pierwszy Świat (tak zaczęli nazywać pierwotną zniszczoną realność tempomigranci) okazał się bezbronny wobec najazdu z powodu swojego dobrobytu i niezmiernie wysokiej stabilizacji. Siedem światowych mocarstw: Brytyjskie i Rosyjskie Imperia, Chiny, Japonia, Południowoafrykańska Konfederacja, Alians Franko-Niemiecki, Amerykańskie Stany Zjednoczone - stworzyły polityczną i ekonomiczną bazę świata, i - wydawało się - nikt nie jest w stanie zakłócić tego spokoju, a tym bardziej - naruszyć. Struktura owa narodziła się na początku dwudziestego wieku, kiedy Wielkie Mocarstwa - było ich pięć - dogadały się co do podziału stref wpływów, podpisały Watykański Pakt o wieczystym pokoju i przystąpiły do redukcji armii i flot. Nie wszystko szło gładko, ale już po trzydziestu latach epoka wojen zaczęła być odległą przeszłością, rodzajem trudnego dzieciństwa ludzkości. Osiemdziesiąt lat trwał prawdziwy Złoty Wiek. Potem wszystko się zawaliło...

Stało się jasne: Pierwszy Świat musi się obronić.

Chwała Bogu, migrantom wystarczyło rozsądku (podyktowanego bardzo bogatym negatywnym doświadczeniem), by nie walić na odlew. Na szczęście urządzenie takie jak "tempo" dawało czas na zastanawianie się.

Swoją bazę tempomigranci założyli w dziewiątym tysiącleciu przed naszą erą na wyspie Newfoundland, naonczas jeszcze nie "*found*". I przystąpili do wszelakich testów.

Tam właśnie pojawiło się pojęcie "Wielkie Równanie Szalonego Kapelusznika", opisujące istnienie małych, na poły fantomowych realności, które, jeśli tak można powiedzieć, od wewnątrz wyglądają na znacznie większe niż z zewnątrz. Te fragmenty realności, które ich mieszkańcy odbierają jako wielki i samoistny świat, okazały się być idealnymi poligonami, służącymi do testowania pewnych działań dla ratunku Pierwszego Świata.

Wkrótce stało się jasne, że stworzenie cywilizacji przygotowanych do bieżących militarnych działań jest proste, ale nieuchronne wojny zrujnują ekonomikę i odparcie najazdu stanie się znowuż niemożliwe, chociaż już z innego powodu. A zresztą, cywilizacja ta w aspekcie chociażby kulturalnym, stanie się tak zdegenerowana i uboga, że świat Majów, świat okrucieństwa i honoru, śmierci i pogardy do niej - wygląda, słowo daję, lepiej.

I zaczęły się długie poszukiwania wariantu pośredniego... Zainicjowano powstanie dziesiątków małych rzeczywistości, dziesiątków laboratoryjnych labiryntów, zasiedlonych przez niczego nie podejrzewających ludzi. Nie było ich zbyt wielu: nie więcej niż milion w każdym świecie. Ale z powodzeniem zapewniali sobie i innym, że - jak i wcześniej - jest ich kilka miliardów. Ich światy były ciasne i ubogie, ale interpretowane były przez ludzi z poprzednią wyrazistością, pełnią i wielkością. Rzadko komu udawało się zobaczyć swój świat takim, jakim był naprawdę.

Cel tego gigantycznego eksperymentu był następujący: wypracowanie takiego schematu konsekwentnych przemian Pierwszego Świata, by był on kompletnie gotów do walki w chwili kontaktu z Majami. Straty kulturalne miały być co najwyżej takie do przyjęcia. Opracowywano metodykę wprowadzania potrzebnych zmian.

Przekształcenia w pewnych małych światach uznane były za nieudane i bez perspektyw. W innych - wręcz przeciwnie: obiecujące.

Również w naszym...

Rok 1961 Zbych

1 września. Około 15-ej. Baza "Sajan". Bunkier dowodzenia

Nigdy nie sądziłem, że do takiego gorąca można przywyknąć. Ale fakt: nie umarliśmy i nie oszaleliśmy. Po południu temperatura, osiągnąwszy 173o Fahrenheita, zaczęła wolno spadać. Filtry powietrza działały dobrze, nie czuliśmy smrodu ani duchoty. Oczywiście - dręczyło nas pragnienie - ale, jak na razie, udawało się przekonać siebie, że warto pocierpieć, szczególnie że piwo nie przynosiło specjalnego pożytku: co się wypilo, to po sekundzie było na skórze. Przegrzanie, oczywiście, dawało o sobie znać: w malignie przychodzili do mnie goście... Zresztą, nie warto opowiadać. Helga usiłowała wejść do lodówki. Potem nie wytrzymała pierwsza i wypila dwie puszki pod rząd i straciła przytomność. Potem mnie się wydawało, że woda z kranu pocieknie, tylko należy uruchomić pompy. Ocknąłem się i poszedłem to zrobić. Pompa włączała się z pulpitu: taki sobie mały i nie rzucający się w oczy przełącznik. Uruchomiłem go i poszedłem uruchomić kran. Potem poczołgałem się do kranu. Potem otworzyłem go. Woda lała się cienkim strumykiem, zimna. Umyłem twarz, zmoczyłem włosy i zrozumiałem, że nic się jeszcze nie skończyło. Helga leżała na podłodze pod dwoma kocami. Jakoś dowlokłem ją - sprzeciwiała się - do kranu i zacząłem lać na nią garście wody...

Następna godzina była, chyba, najgorsza. Nagle pojawiła się nadzieja... Nagle strasznie zachciało się człowiekowi żyć. Coś pękło we wnętrzu, jakaś potrzebna - albo na odwrót, niepotrzebna, kto to wie? - struna. Wszystko ze mnie rwało się na zewnątrz. I ze mnie, i z niej.

O tym też nie warto opowiadać.

Nie od razu zorientowaliśmy się, że robi się chłodniej. Poza tym - co to znaczy: chłodniej? Z gorącej sauny przeszliśmy do takiej, gdzie pieca pilnował ktoś leniwy. Ale i to było wspaniałe.

Do żelaznych drzwi można już się było dotknąć bez ryzyka pozostawienia na nich strzępu przypalanej skóry.

Czułem się jak po ciężkiej chorobie: ciało szmaciane, a w głowie już jasno i radośnie. Przy tym rozum uświadamiał mi, że nie ma się specjalnie z czego cieszyć...

Ponieważ, owinąwszy dłonie szmatą, odkręciłem kremalierę, ale drzwi nie dały się mimo to otworzyć. Nie powiedziałem na razie o tym Heldze.

Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy.

Dziwne: nawet nie chciało mi się myśleć o tym, co się działo na gorze. Gdzie się podzieli terroryści i czy w ogóle się gdzieś podzieli. Kto z naszych ocalał. Czy nie zaczęła się mimo wszystko wojna. I tak dalej. Wszystko to jawiło mi się faktami z historii. Czytałem. Wiem. Emocji nie wywołuje. Zastanawianie się - nie ma sensu...

- Opowiedz teraz o sobie - zaproponowała Helga.

- Szczury laboratoryjne nie mają indywidualności - odparłem. - Tylko metki z numerami.

- Nie masz racji. Nikt nie jest szczurem.

- Wszystko jedno. Zgódź się, że nie jest łatwo dowiedzieć się, że człowiek żyje w skrzynce z lustrzanymi ścianami, a twym przeznaczeniem jest potwierdzenie albo odrzucenie kolejnej hipotezy...

- Zbychu. Miałam trzysta lat, kiedy... to się stało. Do dziś krzyczę przez sen. Byliśmy wtedy w Finlandii, na dacy. Ojciec ubierał choinkę. Zaprosiliśmy sąsiadów. Był tam chłopiec, który bardzo mi się podobał. Paul. W wideo występował Cesarz. Też siedział w rodzinnym kręgu, nie wiem, dlaczego zapamiętałam oparcie kanapy: półokrągłe, zielone ze złotem i dwa anioły po bokach. Wydawało mi się, że Cesarzowa jest czymś zatroskana, ale stara się tego nie okazywać. Dzieci się uśmiechały... Cesarz przekazał nam życzenia z okazji Bożego Narodzenia i życzył powodzenia w przyszłości i szczęścia... Byliśmy naprawdę szczęśliwi, Zbychu. Byliśmy naprawdę szczęśliwi jeszcze przez dwie i pół godziny... Czasem myślałam potem, że wszystko, co się potem działo, to zapłata za nasze bezwstydne, totalne szczęście... My jakoś tak... niezasłużenie? Nie, to nie to słowo... rozpustnie dobrze żyliśmy. Jakbyśmy tracili, nie żałując, nie skąpiąc, szczerze ponad miarę - coś niedotykalnego. Wleźli z nogami w tort... Ale to późniejsze refleksje, wiesz? Wtedy o takich rzeczach się nie myślało. Nie, może ktoś myślał, nawet istniał taki ruch: "Na rzecz ograniczenia konsumpcji". Ale wszyscy się z nich naśmiewali. Rozumiesz, Zbychu, to przecież nie było najważniejsze. To tak jak oddychanie. Tak, mogliśmy całą rodziną pojechać do Afryki - popatrzeć na nosorożce i lwy. Albo, jak nam się znudzi Petersburg, przenieść się... niechby i do Konstantynopola... Dosłownie - objechać cały świat, zatrzymując się na krótko tam, gdzie się spodoba. Tata był inżynierem, budowniczym mostów. Nie potrafię ci wyjaśnić, na czym polegała pełnia naszego życia. Bezpieczeństwo. Wyobraź sobie: drzwi domów nie były zamykane nawet w wielkich miastach. Dzieci spacerowały po nocach. Przy tym ten dobrobyt, jaki wam się nawet nie śnił. I zawsze małe święto. I... jeszcze... nie wiem, jak to wytłumaczyć... stała radość - po prostu w powietrzu. Jak w dzieciństwie w świąteczny poranek... I do tego...

Raj, pomyślałem. Ten słynny raj utracony.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że cię nie rozumiem, to się mylisz. Bardzo dobrze rozumiem. Bardzo dobrze to czuję. Spróbuj więc i ty. Dorastałem w Polsce i na ile siebie pamiętam, stale przygotowywaliśmy się do wojny. W szkole dostawaliśmy małe p-gazy z troczkami na tył głowy i podczas ćwiczebnych alarmów wyprowadzano nas do piwnicy. Nie wiadomo dlaczego, wszyscy byli przekonani, że od pierwszych chwil działań wojennych puszcza gaz. Gazu nie było, ale mając jedenaście lat dowiedziałem się co to "stukas", niemiecki bombowiec, mały i zwinny. Kiedy zaczęła się wojna, odwieziono mnie do dziadka na wieś. Tam przyszli Rosjanie. Nie wszystko rozumiałem... Mamę gdzieś zabrano i więcej jej nie widziałem. Ojciec znalazł się w niemieckiej niewoli, był porucznikiem piechoty. Ktoś go powiadomił o mamie, więc wstąpił do polskiego legionu, by walczyć przeciwko Rosji. Ale kiedy Niemcy ugrzęźli w Rosji, na Uralu, nie wiadomo dlaczego przeszedł na stronę Rosjan. Wraz z całym plutonem. Za to Niemcy rozstrzelali dziadka i babcię, a mnie wpakowali do obozu dla bezdomnych dzieci. Ojciec walczył z Niemcami, a ja wykopywałem kartofle... i nie daj Bóg wziąć jednego czy dwa ze sobą do baraku...

Po co ja to opowiadam? Żeby ją wzruszyć?

- Zbychu - powiedziała. - Rozumiem. Jesteśmy gnojami. Jesteśmy bydłakami, które spłonąć powinny w piekle. Ale... przecież my nie o piękne życie... Przecież gdyby to chodziło tylko o nas - wyładowałibyśmy się gdzieś w latach trzydziestych, rozplynie się w tłumie... i żylibyśmy wygodnie i miło, ponieważ... no, wiadomo. Kiedy znasz z góry jakieś istotne drobiazgi typu skoki kursów akcji...

- Tak - powiedziałem. - Tak właśnie jest. Za ludzkość.

- Za ludzkość... - Wtuliła twarz w dłoń. - Już przywykliśmy. Szczerstwiliśmy. Wiesz, jak było na początku? Strzelaliśmy sobie w łeb, wariowaliśmy...

- To, co się działo... na górze. Jaki to miało sens?

- Więc ty myślisz, że to nasza robota? O Boże, nie! Wręcz przeciwnie. Musieliśmy nie dopuścić do rozpoczęcia nowej wojny... - Jakby zmieszana się. - A wszystko, co było tam - wskazała sufit - to spiszek, którego celem było właśnie wywołanie wojny. Istnieje taki Klub Szelechowski. [*Szelechow Grigorij - rosyjski podróżnik i kupiec. Od 1775 roku organizował wyprawy na kurylskie i aleuckie wyspy, zapoczątkował rejsy do tzw. rosyjskiej Ameryki, gdzie zakładał pierwsze rosyjskie osady - przyp. tłumacza*] Syberyjczy i amerykańscy generałowie i przemysłowcy. Jedni prowadzą interesy w Chinach, inni po prostu są japonofobami... Dwa lata temu zdecydowali, że rozpoczną wspólną wojnę przeciwko Japonii i wygrają ją. A zacząć muszą tak, by postawić rządy przed faktem dokonanym... A jeśli się uda, to nawet obalą te rządy. Niemal wszystko im się udało. Częściowo znaleźli, częściowo stworzyli od nowa bojową organizację nacjonalistyczno-szowinistyczną, stworzyli dla niej scenariusz działania, przekazali odpowiednie hasła, klucze i szyfry... Jak tylko się dało ułatwili drogę...

- A dlaczego was to nie urządziło? Ja, dla przykładu, też jestem japonofobem. Za wszystko co robili i robią z Chińczykami...

- Nie urządziło nas dlatego, że zwycięzcy biorą całą pulę. Oni są teraz bardzo mocni. *Reich* już nie jest dla nich przeciwnikiem. I za piętnaście lat zacznie się wojna o zjednoczenie Rosji. Prowadząca, wbrew oczekiwaniom, do straszliwych zniszczeń. Reakcją na to będzie nadmierna redukcja armii i flot i rezygnacja z broni jądrowej i chemicznej...

- A-a-a...

- Nie jesteśmy filantropami. Nie ukrywałam tego. My chcemy, żeby przed dwa tysiące dwunastym rokiem...

- No tak.

- Zrozum - tylko od czasu do czasu przestawiamy zwrotnice. A maszyniści, konduktorzy, pasażerowie...

- Nic nie powiedziałem... Co się tam na górze działo? Ostatnie dane, jakie masz?

Zamyśliła się. Widocznie trudno jej było przypomnieć sobie tak nieznaczące detale: jakieś przemieszczenia i zabawkowe śmierci laboratoryjnych ludzików.

- Jęgrzy wklinowali się między miasteczko i silosy. Tam z lewej jest niewielki parów, tam się zatrzymali i okopali. Sądzę, że przygotowywali się do szturm. Chyba otrzymali wsparcie. W każdym razie zauważyliśmy kilka desantowych wszędołazów. W dzień ich tam nie było.

- Rozumiem.

No i dobrze, zuch Siemionow: nie pchał ludzi pod deszcz ołowiu, nie ryzykował życia zakładników. Cicha woda... Pewnie pojawiły się oddziały liniowe.

Ciekawe, czy kapitan zdążył zamknąć bramę? Jeśli nie zatrzymało go nic - mógł zdążyć. Wtedy w ogóle cymes.

Na termometrze było 142o. Niemal przymrozek.

Rok 1961. Zbych

2 września. Około 18-ej. Baza "Sajan". Bunkier dowodzenia

Słodka woń śmierci...

Mimo że bardzo się staraliśmy uszczelnić drzwi szafy, pełniącej rolę mogilnika, fetor przesączał się i wypełniał sobą wszystko. Z każdym dniem będzie silniejszy, póki... z tego czy innego powodu przestaniemy go czuć.

Filtry, należało domniemywać, mają jakieś granice skutecznego działania.

To samo dotyczyło chemicznych pochłaniaczy dwutlenku. Słyszałem, że na łodziach podwodnych są wykorzystywane przez kilka tygodni, ale albo nasze były jakościowo gorsze, albo skok temperatury wywołał jakąś niepożądaną reakcję - ale oddychanie stało się odczuwalnie trudniejsze i przy gwałtownych ruchach zaczynałem chwytać powietrze ustami jak ryba. Tym niemniej nie uruchamiałem jeszcze zapasowego pakietu; diabli wiedzą, ile jeszcze przyjdzie nam tu siedzieć...

Gwałtowne ruchy były takie: usiłowałem pomóc drzwiom otworzyć się.

Najpierw myślałem, że zadziałała jakaś blokada i że trzeba znaleźć sposób na jej usunięcie. Potem zdecydowałem się na użycie siły fizycznej. W wyniku tych działań drzwi uchyliły się na półtora centymetra, a oznaczać to mogło tylko jedno: coś je przywaliło z zewnątrz.

Gdybym miał podnośnik albo porządną dźwignię... Ale jedyne jako tako przydatne narzędzie, jakie udało mi się znaleźć w bunkrze to mały łomik z wyciągaczem gwoździ. Służy to coś do otwierania skrzynek.

I - koniec.

Robinson na swojej bezludnej wyspie miał znacznie lepsze wyposażenie. Nie rozumiem, na co liczyli ci, co kompletowali urządzenie bunkra. W każdym razie nie na przeżycie po wybuchu jądrowym.

Tygodniowy zapas konserw i nie wymagających gotowania koncentratów. Jakies tam medykamenty.

Sześcioladunkowa śrutówka. Żyłka i haczyk. Butelka czystego spirytusu. Dwa podgumowane płaszcze i dwie pary wysokich, przypominających wędkarskie wodery butów, rozmiar czterdziesty ostatni.

Turystyczny toporek i dwa pudełka podwodnych zapatek. Latarka.

Śmieszne? Bo ja się uśmieiałem.

Helga cały dzień leżała, odwrócona do ściany. Pewnie uważała za poniżające takie umieranie z powodu braku tlenu w zwierciadlanym labiryncie, przez siebie samego stworzonym, w towarzystwie nie prawdziwego laboratoryjnego człowieczka.

Jakim się coraz wyraźniej czułem.

Być może była to autosugestia. Może brak powietrza też był autosugestią. I trupia woń. Ale działała owa autosugestia znakomicie. Nawet bardzo.

W końcu zaniechałem walki z użyciem wyłącznie siły fizycznej. Jaka nigdy się szczególnie nie wyróżniałem. Może nie tak - jak na swoją wagę i budowę byłem całkiem-całkiem, ale w tej sytuacji ważyły nie względne wskaźniki, a tylko i wyłącznie obiektywne. O, gdyby ktoś kalibru Kriwołapowa rozszerzył szczelinę, to bym się przez nią przesaczył. A tak...

Mózgiem, trzeba napierać mózgiem.

Muszę na swoje usprawiedliwienie powiedzieć, że napierałem mózgiem również podczas naciskania i podważania drzwi. Ale ostatnie wydarzenia ten organ pokancerowały znacznie silniej niż otaczający go organizm. Czasem wydawało mi się, że tak sobie leżę, ranny, gdzieś pod murem, dookoła trwa walka, a ja po prostu majaczę.

Ale nawet w malignie może znajdować się jakiś racjonalny ukryty sens...

Usiadłem na łóżku Helgi. Niechętnie odwróciła ku mnie twarz. Opuchlizna zaczęła zanikać, oko już się otwierało. Siniec przybrał klasyczną barwę dojrzalego bakłażana.

- Co było w tym miejscu w twoim świecie?

Mimika potłuczonej twarzy nie wyróżnia się wyrazistością, ale i tak pojąłem, że trafiłem w dziesiątkę. Zresztą, z natury jestem domyślny. Za to właśnie byłem ceniony jako wdrożeniowiec. Z tego powodu ciągnęli mnie do różnych sprytnych instytucji.

I właśnie z powodu tej intuicji wykręcałem się od tych propozycji.

Ale proszę - nawykręcałem się...

- Te wasze "chrony" - to są urządzenia stacjonarne, tak? Zapewne podziemne?

Usiadła. Na obliczu - rozterka.

- Poczekaj. Przecież ani słowa...

- Przeciekło ci gdzieś między słowami. W kontekście. Więc posłuchaj: cała ta operacja ma jakiś związek

z tym, co powiedziałem?

Wahała się. Wyraźnie musiała to sobie przemyśleć, przeskalać. Zważyć. Prawdę i kłamstwo w niezbędnych proporcjach.

- Tak. Musieliśmy nie dopuścić do wybuchu jądrowego, bo w przeciwnym wypadku tutejsze "chrona" zostałyby zniszczone...

- Powiedz, proszę, czy wszyscy migranci są zjednoczeni w jedną drużynę?

- Potrafisz zadawać nieprzyjemne pytania.

- Potrafię. Czyli nie wszyscy.

- Tak. Ta drużyna, która stworzyła cywilizację Majów - nie uspokoiła się. A ich możliwości są... wystarczająco wielkie.

- Ale nie nieograniczone?

Pokręciła głową. Bez większego przekonania.

- Mimo wszystko nie rozumiem jeszcze wszystkiego - powiedziałem. - Tworzycie malutką nową rzeczywistość.

Potem - powodujecie, że staje się ona... mniej szczęśliwa i bardziej wojownicza, niż oryginał. To znaczy, że nie udaje się w niej wynaleźć "chrona". Tym niemniej "chrona" tu istnieje...

- Tak, to jeden z wielu paradoksów. Nie da się tego zrozumieć. Możemy zrealizować najgorszy typ ingerencji, a "chrona" i tak istnieje. Nawet jeśli fizycznie nie ma kto go stworzyć.

- Coś takiego się już zdarzyło?

- Tak... o ile wiem dwukrotnie. Ale przy tym wszystkim, każdy z punktów "chrona" jest materialny i bardzo czuły. Można go wysadzić, zasypać, zatopić...

- I Amerykanie prawie tego dokonali?

- Nie Amerykanie, a...

- Nie, właśnie że Amerykanie. Amerykanie. Ha! Podejrzewam, że niemal dogrzebali się do...

- Nie wiem. Być może.

- A dlaczego nikt jeszcze po ciebie nie przyszedł?

- Kto?

- No... twój.

- Też nie wiem. Pewnie myślą, że nie żyję.

- Wykasowali rekord.

- Nie mów tak.

- A niby dlaczego? Dlaczego mam nie mówić? Uczą nas, że z pola walki należy wynosić wszystkich.

Rannych, zabitych - wszystkich. A ciebie, jak z tego wynika, porzucono?

- No to może wyobraź sobie, że wejście zostało zasypane. Ten szyb windy. Zawalony. Najprawdopodobniej tak właśnie jest. No, pomyśl sam: w każdym przypadku bunkier dowodzenia powinien zostać odkopany. Bo jakże inaczej? No to gdzie są twoi, ci herosi, co to mają wynosić z pola walki? Kapitan - gdzie? Dlaczego milczysz?

Pokręciłem głową. Na górze coś się działo, na pewno, ale co - można było się tylko domyślać. Jedno jest pewne: bez wątpienia urobili się tam po łokcie, nie mieli głowy do nas.

Może jednak wojna?

Miło by się z tobą gadało, dziewczyno, pomyślałem, ale zbyt wiele rzeczy przemilczasz. A to tak samo, jakbyś kłamała...

Sam nie wiem, dlaczego tak pomyślałem.

Rok 1961. Zbych

07 września. Noc. Baza "Sajan". Bunkier dowodzenia

Męczyły nas halucynacje. Odgłosy prac. Głosy. Uderzenia. Zgrzyt. Przeniosłem się pod drzwi. Helga przynosiła mi wodę. Niemal nie rozmawialiśmy. Bo i o czym? Wszystko, co można było opowiedzieć - już opowiedzieliśmy: ona o nieszczęśliwej miłości do poety z Moskwy poprzedniego dziesięciolecia, siedziała tam na posterunku rezydenta, dość długo... nic nie mogło dobrego wynikać z tej miłości... A ja nagle wyłożyłem jej swoje: o takiej samej miłości do Conchity, o tym, że już koniec, dość, i że nawet dwuletni Igorek mnie nie zatrzymałby... o jej dzikiej zazdrości, w którą zmieniła się równie dzika namiętność, o trzech próbach samobójstwa - histerycznych, ze świadkami...

Nawet nie usiłowaliśmy się pocieszać. Dziwne, ale tak było, to fakt. Mówi się, że bliskość śmierci wyostża uczuciowość. Ale pewnie chodzi o jakiś inny rodzaj śmierci, bardziej romantycznej.

W końcu zrozumiałem, że ratunku z zewnątrz nie ma co oczekiwać.

Powiadają, że pochowani żywcem, paznokciami przedzierają się przez wieka trumien.

Skądś nagle wzięła się jasność w głowie.

Przyniosłem świeże pochłaniacze dwutlenku - ostatni komplet. Paskami leukoplastra przykleiłem te puszki, przypominające pudełka od starych pegazów, do stalowych drzwi - na dole, tam, gdzie (miałem nadzieję) nie było przeszkód z drugiej strony. Kiedy szczelnie zamykałem drzwi, a potem gwałtownie otwierałem, to odgłos zderzenia rodził się chyba gdzieś na górze. Dobrze by było, żebym się nie mylił...

Potem zebrałem wszystkie ciężkie przedmioty z pomieszczeń. Prycze łatwo się demontowały, poszwy i poszewki nafaszerowaliśmy teczkami z dokumentami, nawet przelotnie pomyślałem, że możemy wykorzystać ciała z szafy... ale to była myśl z gatunku tych, które nigdy nie są realizowane. Najcięższymi przedmiotami były transformatory, gwarantujące zasilanie arytmometru, i sam arytmometr - naprawdę umieszczony pod pulpitem. Ale o ile transformatory dały się wyjąć bez większego trudu, to z maszyną musieliśmy naprawdę się pomęczyć.

Potem przystąpiłem do przygotowania inicjatorów. Zrobiłem je z żarówek, których na pulpicie było wielkie mnóstwo i naboju pistoletowych, których miałem nawet jeszcze więcej. W cokołach żarówek przecierałem o szorstki beton dziurę, potem, jeśli włosek był nienaruszony, wsypywałem do środka proch z pocisków. Zaklejałem otworek plastrem. I tak dwanaście razy...

Oprawki do żarówek wyjąłem również z pulpitu, a odpowiedniej ilości przewodów odwinąłem ze zwoju transformatora. Długo i starannie czyściłem końcówki przewodów, którymi łączyłem "spłonki" w bukiety. Zrobiłem to. Poumieszczałem spłonki w puszkach pochłaniaczy: porozcinałem nylonową siatkę i ostrożnie włożyłem je w warstwę granulek. Ręce mi się trzęsły, chociaż dobrze rozumiałem, że reagent "K" jako taki nie jest bardziej niebezpieczny od chloranu potasowego.

No i już. Przeciągnąłem przewód do kajutki, gdzie mieszkaliśmy, przymocowałem do końca zwyczajną wtyczkę z maszynki do golenia. Ktoś z pracujących tu utrzymywał swój wygląd w należytym porządku...

Ładunek w akumulatorach jeszcze był i lampki płonęły jasno, a wentylatory meły powietrze...

Teraz zostało najważniejsze. Spirytus obwąchałem na wszystkie możliwe sposoby, na lusterku, wyparowując, niemal nie zostawiając żadnego śladu. Ale jeśli było inaczej... Jeśli są w nim choćby ślady acetonu...

Nie. Nie ma już co dywagować. Koniec, dość. Wyłączamy się.

Cieniutkim strumykiem zacząłem nalewać spirytus do puszek pochłaniaczy, starając się, by granule nasączały się równomiernie. Po osiemdziesiąt gramów na puszkę. Jedna... druga... trzecia...

Wydawało mi się, że zalane puszki zaczynały się podgrzewać. Ale to mogło być złudzenie.

Przyjmijmy, że to *jest* złudzenie.

Szósta.

Teraz - trzeba je dokładnie przypasować do drzwi. Bez szczelin. Wyłamane z szafki-mogilnika półki...

Dobrze... Teraz prycza, płasko, podkładam metalowy taboret, żeby utworzyć pochylnię skierowaną ku drzwiom i na pryczę - oba transformatory, a każdy po jakieś dziewięćdziesiąt kilo i arytmometr - jakieś siedemdziesiąt...

Helga obserwowała mnie w milczeniu, nie próbując nawet pomóc. Jakby nie było jej tu. Nie to nie, niech ją...

Przestań.

Na wierzch powrzucałem wszystko, co dało się przenieść z miejsca na miejsce. Dobrze by było położyć dwa-trzy worki z piaskiem...

Nie wiem, dlaczego zachciało mi się śmiać. Ogarnęła mnie osłabiająca wesołość, taka jak po długim łaskotaniu...

Na uginających się nogach dotarłem do kajutki, usiadłem na podłodze - tam, gdzie wcześniej była moja prycza. Boże, co za poczucie własności terytorialnej, co? - i pozwoliłem sobie na salwę śmiechu. No, co z tobą, co jest? - dopytywała się Helga, a ja tylko kręciłem głową i jak pomyłony chichrałem się. Potem wytarłem pysk i zacząłem masować zeszywniałe mięśnie żuchwy. W porządku, w porządku, w porządku... to tylko taka reakcja obronna.

Potem wstałem, przyczepiłem do pasa latarkę, przymknąłem drzwi (otwierały się na zewnątrz), wsunąłem w szczelinę mały łom (mniej szans, że się zaklinują), i zacząłem zatykać prawe ucho papierowym korkiem. Lewe zatkałem palcem...

- No i już - uśmiechnąłem się do Helgi. Siedziała w kącie, skoncentrowana i posepna. - Na wszelki

wypadek... gdybyśmy się nie zobaczyli... - pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Spazmatycznie westchnęła.

- Mocno zatkaj uszy i otwórz szeroko usta.

Skinęła głową. Zatkąła uszy kciukami, otworzyła usta i zamknęła oczy.

Zrobiłem to samo i wetknąłem wtyczkę w kontakt.

Ocknąłem się z poczuciem, że ktoś przeciąga mnie przez wąski otwór. Przez ucho igielne. Odbywało się to we wnętrzu dudniącego bębna. Ktoś ciągnął za ręce, a ktoś inny popychał, napierając na mój tyłek. Przez jakiś czas odbierałem to jak sen, jak zwid. Potem coś ostrego zaczęło mnie uwierać pod żebra, z każdym szarpnięciem coraz mocniej...

- Hej! - odezwał się nieznany mi głos nad głową. - Nie szarp się.

- Puśćcie mnie, ja sam.

Szarpiące mnie ręce puściły, ostrożnie przekręciłem się, dostosowując ciało do otworu, cofnąłem się, wygiąłem i przelazłem, rozdzierając, co prawda, piżamę i bok. Ktoś skierował na mnie promień latarki i klepnął w ramię:

- Zuch.

- Staram się jak mogę. A Helga?

- Tu jest. Wszystko w porządku, żołnierzu.

- Jestem tu, Zbychu - odezwała się Helga. Głos docierał poprzez dudnienie, ale poznałem go. W głosie rozbrzmiewał niepokój. - Chodź tu.

Odwrociłem się. Promień latarki okręcił się wraz ze mną. Plamy światła jakoś cholernie wolno układały się w normalny widok. Ale w końcu ułożyły się...

Helga stała w towarzystwie dwóch oficerów wojsk łączności. Miała na sobie również piżamę, ale na ramiona narzuconą bluzę mundurową.

- Charitonie - powiedziała, patrząc na mnie - wiem dokładnie, co powiesz. Sama bym to powiedziała, gdybym nie widziała... On jest nam potrzebny, Charitonie. Jest lepszy od Malkinena. Dwa razy lepszy. Rozumiesz? Jeśli chcemy naprawdę coś osiągnąć... Wszystko mu opowiedziałam.

- Co? Wszystko? - zapytał jeden z oficerów, patrząc na mnie, drugi odwrócił się do Helgi z dziwnym wyrazem twarzy. Gdyby można było jednocześnie zmrużyć oczy i wytrzeszczyć je - wyszłoby dokładnie coś takiego.

- Wszystko, co mogłam.

- I?

- Bardzo chcę, by był z nami. Pomóż mi, Charitonie.

- O Boże, Helgo. Rozmawialiśmy o tym tysiące razy... To jest człowiek z tej rzeczywistości. Wyobrażasz sobie, jak odbierze wszystko, co robimy?

- Wyobrażam sobie. Ale warto zaryzykować. Zbychu, przecież... będziesz z nami?

Przyglądałem im się długo. Ludzie, jak ludzie...

- Co się teraz dzieje na górze? - zapytałem.

- Krwawa kasza. Bunt. Starły się interesy trzech jednocześnie... jakby to lepiej określić... grup spiskowców. Każda grupa była przekonana, że prowadzi własną operację. Tak więc... różne efekty wtórne...

- Znacie spiskowców?

- Większość z nich. Nawiasem mówiąc, pan też ich zna.

- To jasne. Ale - jak rozumiem - przerwanie tej krwawej kaszy... nie jest wam na rękę?

- Jest. Będzie przerwana. Już niedługo.

- Aha...

Zrozumiałem, że nie mam nic do powiedzenia. Głupie uczucie.

- Charitonie, no powiedzże mu... - niemal błagalny szept Helgi.

W odpowiedzi długie milczenie.

- Dobrze. Szanowny panie, składam na pana ręce oficjalną propozycję wstąpienia do naszych szeregów pododdziału korektorów historii. Od razu chcę powiedzieć to, co najważniejsze. To okrutny zawód.

Wymaga takiego przeciążenia sumienia, że wiele razy pożałuje pan wyrażonej zgody. My się tym zajmujemy z musu... Helga wyjaśniła panu dlaczego.

- Tak - powiedziałem. - Wyjaśniła. Ale... nie jest łatwo w to uwierzyć.

- W zasadzie to już pan wierzy. Szczegóły zaś... czy szczegóły są ważne?

- Szczegóły są najważniejsze - powiedziałem. - Na przykład: co będzie, jeśli odmówię?

- Rany boskie - powiedział Chariton. - Droga na górę jest wolna. A my tu za sobą zasypimy przejście...

To nie był argument, rozumiałem to dobrze i on też. W ogóle - rozmawialiśmy nie o tym, o czym powinniśmy...

- ... Ale jeśli jest pan zaniepokojony losem swoich dzieci... ma pan dzieci?

W dwa tysiące dwunastym Iгореk będzie miał pięćdziesiąt cztery lata. I, pewnie, będzie miał dzieci.

A może już nawet wnuków. Kupa dzieci i wnuków...

Ale i to nie jest to. To znaczy - oczywiście, też. Obok innych...

No to jak? Dlaczego wiem na pewno, że się zgodzę? Dlaczego on też to wie? Wie, przecież widzę... Czyżby była to po prostu ciekawość? Czy chęć wyrwania się z kolein historii, odmiany losu...

Nie, to coś jeszcze. Będę miał czas o tym pomyśleć.

- Tak jest - powiedziałem. - Znaczący, słucham rozkazów.